

I 7.469.701

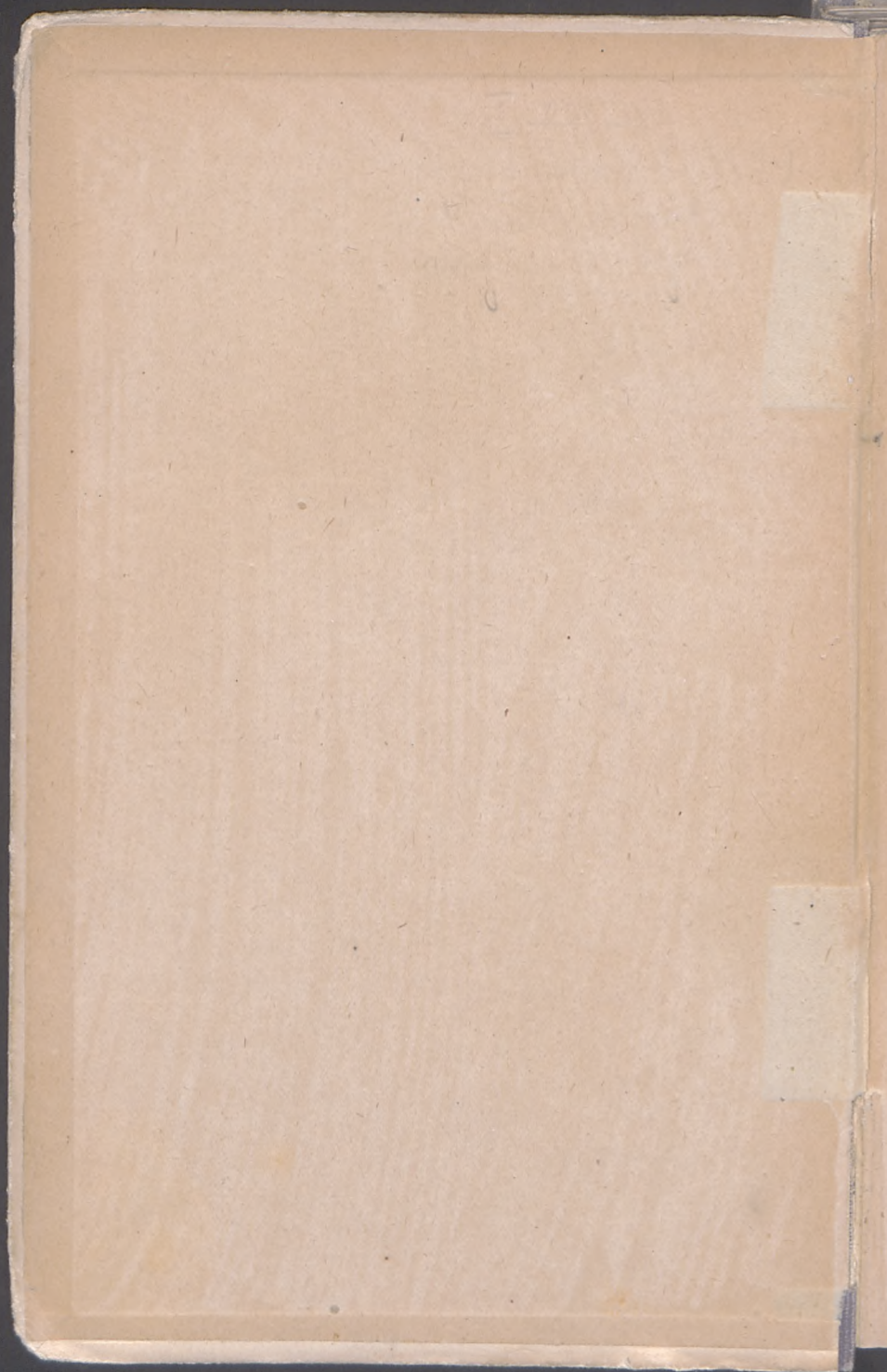
A. Domańska

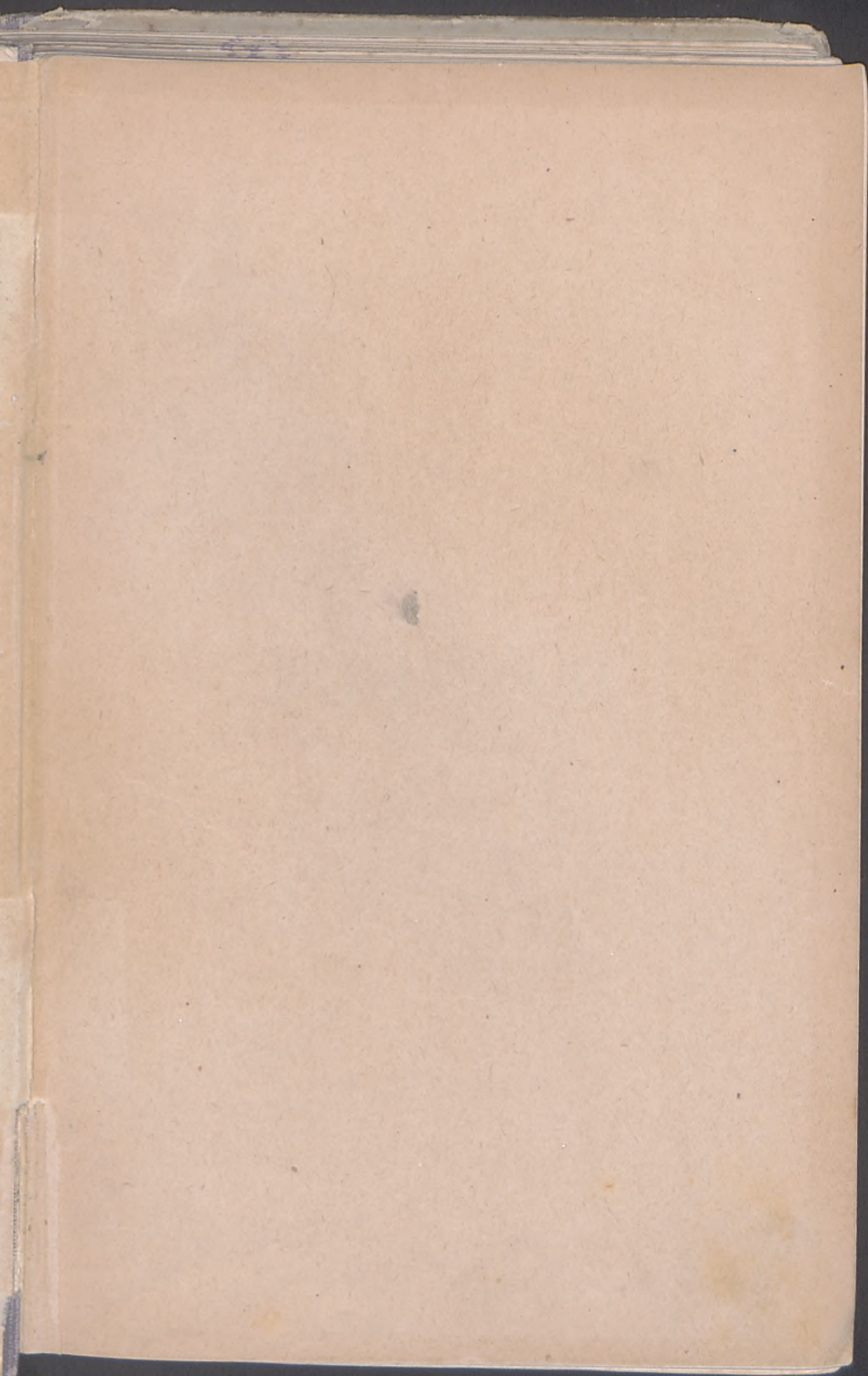
PRZYJACIÓŁKI

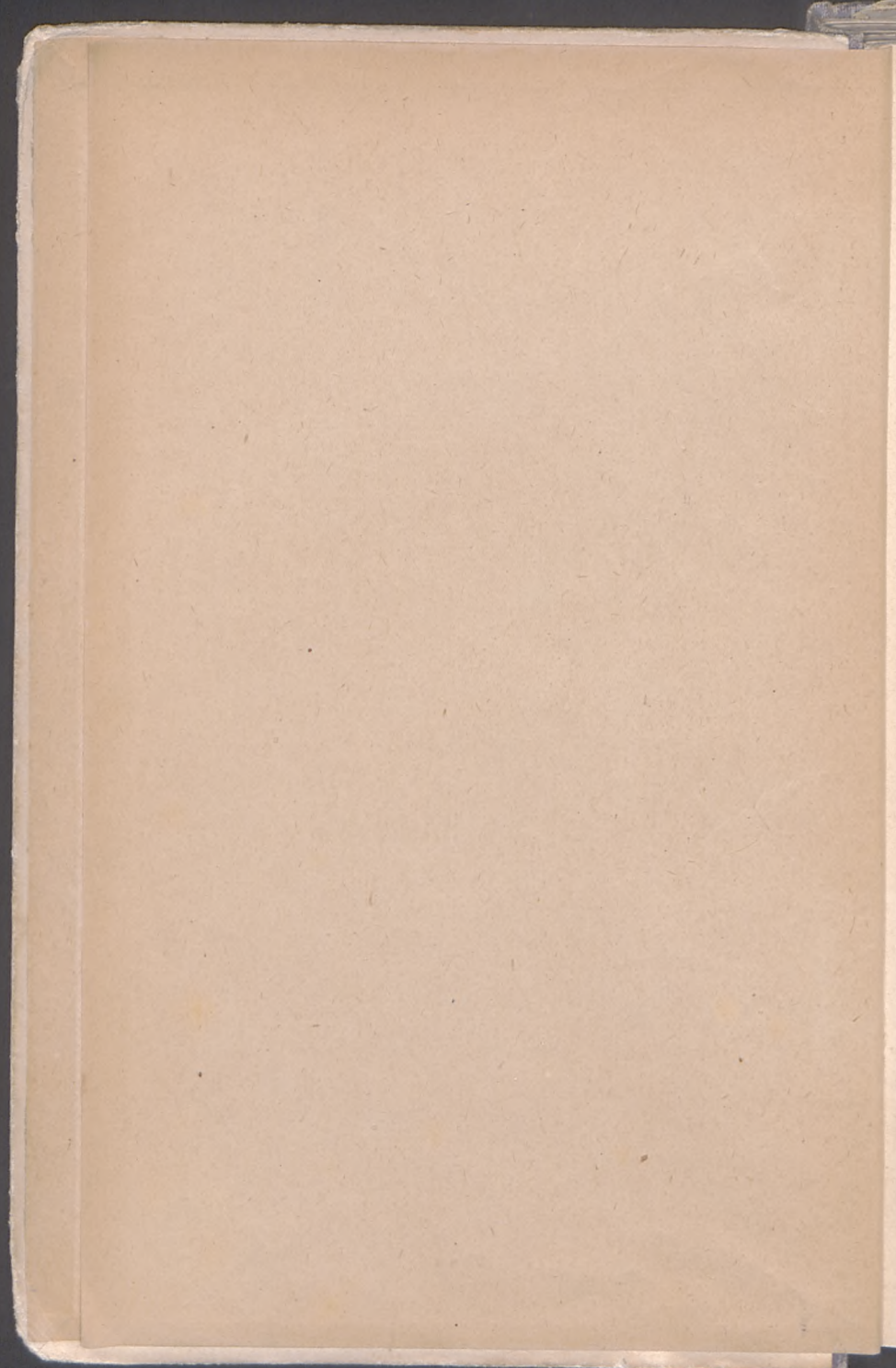
POWIASTKI
DLA MAŁYCH DZIECI
z 33 rycinami



Wydawnictwo M. ARCTA w Warszawie







PRZYJACIÓŁKI

DRUKARNIA M. ARCTA W WARSZAWIE, ORDYNACKA 3.

PRZYJACIÓŁKI

POWIASTKI DLA MAŁYCH DZIECI

podług Marty Gieset

NAPISAŁA

Antonina Domańska.



WARSZAWA
NAKŁADEM I DRUKIEM M. ARCTA

—
1904

PRZYJACIÓŁKI

POWIASTKI DLA MAŁYCH DZIECI

podług Marty Gieset

NAPISAŁA

Antonina Domańska.



WARSZAWA
NAKŁADEM I DRUKIEM M. ARCTA

—
1904

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001001851197



Дозволено Цензурою.
Варшава, 7 Февраля 1903 года.

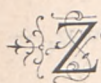
1.467.901



1990 D 319/52

I.

Pierwsze spotkanie.

OSIA, sześćioletnia córeczka doktora, który przed tygodniem sprowadził się do ładnego domu z ogródkiem, wybiegła zobaczyć, co się tam dzieje na grządkach.

Fijołki przekwitły już w ogródku, zato narcyzy, krokusy, żonkile i stokrotki, zaczęły wysuwać główki swoje z pod ziemi ogrzanej słońcem, jak z pod ciemnej kołderki. Tulipany zaś zawstydzone, że je inne kwiatki ubiegły, roztwierały śpiesznie swe pączki i chełpiły się ślicznymi jaskrawymi sukienkami.

Zosia spojrzała na duży tulipan pąsowy w żółte paski i zatrzymała się.

— Oho, ładniejszy byłeś wczoraj, mój kochany,—rzekła do kwiatka, schylając się, żeby lepiej usłyszał.—Dziś opuściłeś liście aż do ziemi, jak jaka pani, co w ogoniastej sukni na bal idzie i wykrzywiłeś główkę na bok; cóż to za grymasy? Cóż to za miny? Wcale a wcale mi się nie podobasz!

— Zosiu! Zosiuniu! —zawołał ktoś bliżutko—Zosieńko!

— Co to? Czyżby tulipan? Ach nie... gdzieżby tulipany mówiły! Takie niemądre, nawet pachnąć nie umieją.

— Zoooosiu! —zawołało coś znowu,—czy ty nie słyszysz?..

Wreszcie Zosia podniosła oczy w górę, patrzy, a tu po drugiej stronie żywopłotu, w ogródku sąsiadów, stoi na ławce dziewczynka, trzymając się gałęzi bzu.

— Mamusia powiedziała, że tu mieszka pan doktor z panią doktorową i maleńką Zosią. Czyś to ty ta „maleńka Zosia”? Takbym się chciała z tobą bawić. Jestem młodsza od ciebie (tak mama powiedziała), ale pewno jeszcze urosnę; chodź do mnie, Zosiu!

Zosia urwała zgrymaszony tulipan i podbiegła do płotu.

— Powąchajno go, ale porządnie; wpa-
kuj cały nosek. Ale, ale, a jak ty się na-
zywasz?

— Różia,—odpowiedziała dziewczynka,
zanurzając nosek w kielich kwiatu. — Ale
mamusia woła na mnie „Różyczko!”



— Chi, chi, chi...—zaśmiała się Zosia.—
Podbiegnij do naszej furtki, coś ci pokażę.

Różia zeskoczyła z ławeczki i przez
otwartą furtkę weszła do ogródka.

— Chodź ze mną do naszego domu,—

rzekła Zosia. Wzięła Rózię za rączkę i zaprowadziła do pokoju mamy, przed lustro.

— Patrzajno, jaki masz nosek brązowy! Ładny, prawda?

— Prawda, a czem on się tak umalował?

— To tulipan tak cię pocałował, że aż znać na nosku.

Smiały się obie i skakały przed lustrem, robiąc minki do tamtych dziewczynek po drugiej stronie szyby. Dawały im buzi, aż się plama na zwierciadle zrobiła, no bo jakże inaczej, kiedy na śniadanie był chleb z masłem.

— Ale teraz muszę już pójść do mamy, bo nie będzie wiedziała, gdzie ja się podziałam.

— A przyjdiesz jutro do mnie, ale zaraz raniutko?

— Przyjdę.

Powiedziawszy to, dziewczynka pobiegła do domu.

Nazajutrz rano, ledwie Rózia zmówiła paciorek, rzekła do mamy:

— Pewno mama wychodzi do miasta, prawda?

— Nie, dziecinko; dziś mam dużo do roboty w domu.

— Taaak? Ale ja, to koniecznie muszę wyjść. A wie mama gdzie? Proszę zgadnąć.

— Oj nie zgadnę; niech Różyczka mi powie.

— No to powiem. Idę na wizytę do Zosi. Zosia powiedziała „zaraz raniutko.” Mnie się zdaje, że to już dawno jest „zaraz raniutko.” Mleczko mi proszę schować, to sobie wieczorem wypiję. Albo wie mama co? Dać mi do garnuszka, zaniosę do Zosi. A wie mama coś jeszcze? Zosia będzie moją przyjaciółką; widziała mama kiedy przyjaciółkę?

— Widziałam, dudku. Ale mleczko wypijesz w domu i dopiero pozwolę ci pójść do Zosi.

— Takie gorące! Niech mamusia dmucha... ach! kiedyż ono wystygnie!

— Nie śpiesz się, pij powolutku i tak w tej chwili jeszcze nie pójdziesz.

— Aż w jakiej chwili?

— Aż będzie sama dziesiąta.

— A kiedy będzie sama dziesiąta?

— Gdy wskazówka dojdzie do tego znaczku; widzisz? tu w górze.

Mama pokazała Rózi palcem godzinę i wyszła z kluczami do spiżarni. Dziewczynka została sama.

— Kochana wskazówko—rzekła Różia, podnosząc oczy na zegar; — jeżeli możesz, to się pośpiesz, bardzo cię proszę! Bo to widzisz, czekać, to okropnie nudno, a jeszcze się coś stanie, że gotowam być niegrzeczna, mama się rozgniewa i nie pozwoli pójść do Zosi, a toby było straszne nieszczęście... ale znowu, moja pani skazówko, nie leć za prędko, bo muszę pierw ustroić laleczkę. Bez Biñci przecie nie pójdę.— Chodź córeczko, ale trzeba się ładnie ubrać, pójdziemy do cioci Zosi. Pamiętaj, żebyś była grzeczna, posłuszna, nie dokażywała, boby cię ciocia Zosia nie kochała. Ona ma kilka córeczek i pewno wszystkie są bardzo grzeczne. Słuchajno Biñciu... miałam ci coś powiedzieć i zapomniałam. — Ach! kiedyż będzie ta dziesiąta! Aha, przypomniałam sobie: wiesz, Zosia będzie moją przyjaciółką; doprawdy, sama mi to wczoraj powiedziała. A przyjaciółka, to coś lepszego niż zabawki, niż słodkie rzeczy... o tak, tak, nawet niż czekoladki z sokiem. Nie wiem czy wolno psuć cudze za-

bawki, gdy się jest naprzykład u jakiej drugiej dziewczynki? Pewno, że nie wolno; pamiętaj, Bińciu, żebyś nic nie zepsuła!



— Ale trzeba zobaczyć, co wskazówka porabia. Aj Boże!.. gdyby się Zosia nas nie doczekała i poszła sobie z domu, tobyśmy

dopiero płakały! Prawda Bińciu? Ej, ty zegarze kochany, jak można tiktak robić tak powolusieńku? Ty nigdy nie zdążysz na dziesiątą. Bińciu, uważaj, co ci powiem. Przywitasz się grzecznie z ciocią Zosią, gdy cię o co zapyta, odpowiesz wyraźnie, a palca do buzi nie wtykać, pamiętaj! Fartuszek w palcach nie zwijać, sukienki nie poplamieć. Aha... a kto to się dziś nie mył jeszcze? Bardzo ładnie, a, a... nie spodziewałam się, że moja córeczka boi się wody. Jakże to mamusia śpiewała, kiedy płakałam przy myciu... ale to już bardzo dawno, kiedy byłam jeszcze maleńka. Aha:

Białe rączki — czysta buzia,
Jaka śliczna moja Różia.

— Oj ty wskazówko, ty! Tak się powoli posuwasz! Nieznośny zegar! Mogłaby go mama posłać do naprawy, pewno popsuty, a ja muszę czekać. Dajno główkę córusiu, niech cię uczeszę. Taka rozczochrana przecie nie pójdziesz... dzieci cioci Zosi śmiałyby się z ciebie. Kotki nie mają grzebieni, a czeszą się tak ładnie łapkami i myją języczkami. A kwiatki, to się myją rosą; tak mama mówiła.

— Kto je osusza? — pyta Bińcia.

— Ach ty niemądra! przecież słońce. Wstaje raniutko i zabiera z kwiatków rosę; bo słońce kocha kwiatki.

— Brzydka jesteś moja pani wskazówko! Coby ci szkodziło pogalopować trochę? Gdyby mnie kto tak prosił, byłabym lepsza od ciebie. Gdzie Bińcia ma sukienkę? Pod stołem. Aa... bardzo pięknie! któż to taki nieporządny? A pfe! no i widzisz! falbanka znowu oberwana; cóż ty sobie myślisz bębnie jeden, że mama Rózia nie ma nic lepszego do roboty, tylko po całych dniach twoje rzeczy naprawiać? Widzicie ją! Nie kocha mama Bińci.

— To szczęście, że lalka nie wie o tem, że ja nawet igły nie umiem nawlec... ach bo to tak trudno!

— Co powie ciocia Zosia, gdy takiego oberwusa zobaczy?

— Żebym się mamusi nie bała, zarazbym poleciała do ogrodu i hop! przez płot. Najlepiej zrobię, gdy tam do wieczora zostanę. A obiad? głupstwo obiad. Ciekawam, czyby człowiek umarł z głodu, gdyby jeden dzień obiadu nie jadł?

— A przecie! ty niedobra, jesteś nareszcie na dziesiątej! Myślałam, że nigdy nie

zaleziesz. Prędko, prędko, Bińciu, zbierajmy się, ktoś drzwi otwiera... Mamusiu... już jest dziesiąta! Idziemy?

— Idziemy, mama cię odprowadzi, ale pamiętaj, bardzo grzecznie się sprawiać. Masz tu dwa jabłuszka, jedno dla ciebie, drugie dla Zosi.

Mama stanęła we drzwiach i patrzyła za Różyczką, gdy ta biegła do drugiego domu. Czy sobie też poradzi? Dziewczynka zatrzymała się przed zamkniętą bramą.

— Zosiu!.. Może wyszła z mamą do miasta? A może pojechała na wieś ze swoim tatusiem? A może leży chora?— Zoosiu! Nikt się nie odzywa. Oj, Bińciu, Bińciu... jakie my niemądre! Nie widzisz dzwonek? Nawet sznurek wisi przywiązany do rączki, to pewno dla tego, żeby mniejsi ludzie mogli do niego dostać.

Dziń-dziń... jakoś cichutko. Jeszcze raz: Dziń-dziń-dziń...

Nareszcie drzwi się otwierają, wychodzi Małgosia i bierze Rózię za rączkę:

— Pójdź maleńki gościu; Zosia czeka na ciebie.

II.

Dzień dobry Zosiuniu.

WYCIĄGAJĄC obie rączki, Różyczka wbiegła z radością do pokoju.

— Dzień dobry ci, Zosiuniu! Tak się śpieszyłam!

— A ja tak czekam i czekam; okropnie się cieszę, żeś przyszła; dajże mi buzi.

I obie przyjaciółki ucałowały się serdecznie.

— Właśnie opowiadałam lalce i Pikuśowi o tobie. Mówiłam im, że tu przyjdzie zaraz ich dobra, kochana ciocia. Cukierków nie przyniesie, to nic nie szkodzi, ale zato przyprowadzi swoją najstarszą córkę. I widzicie, że jest. Jakże jej na imię?

— Nazywa się Bińcia.

— Aha... swoją najstarszą córkę, Bińcię. Na długo przyszłaś? Pewno na cały dzień? nie bój się Pikusia, nic ci złego nie zrobi. Prawda Pik? Tyś pocziwy piesek; gdzież-
byś ty ukąsił ciocię Rózię! Ta lalka nazywa się Lorcia. Kocham ją najbardziej ze wszystkich moich dzieci, zaraz ci powiem dlaczego. Wiesz, przeszłego roku dostałam odry. To taka choroba, co się leży w łóżku, nie jeść nie dają i nie pozwalają znajomym dzieciom przychodzić, boby się zaraziły.

— Co to zaraziły?

— Tak samo zachorowały, wiesz?

— Aha. To straszna rzecz... i nie jeść nie dają!

— No tak, rosólek, herbatkę, same niedobre rzeczy. Bardzo długo musiałam leżeć, tylko tatuś i mama byli przy mnie. Jednego razu, tatuś mi przyniósł lalkę, właśnie tę Lorcję. Żebyś wiedziała, jaka ona pocziwa; leżała razem ze mną w łóżeczku, ani się nie skrzywiła, ani pisnęła, choć pewnoby wolala iść na spacer, albo oknem wyglądać. A pomyśl sobie, ja i tak byłam nieznośna dla niej. Rozgniewałam się o coś... aha! lekarstwa nie chciałam

zażywać, bo było strasznie gorzkie; mama mnie przymusiła, a ja ze złości porwałam Lorcę i buch o ziemię. Ach żebyś wiedziała, jak klapsnęła! No, ale się mama gniewała na mnie, że ja się tak złoszczę... aż strach! Czy twoja mama wie o dobrem oczku? Pewno ci kiedy mówiła?

— Nie, nigdy, jakie to oczko?

— A to widzisz jest tak: każdy człowiek ma dwoje oczu, prawda? Ale nie na tem sztuka; najważniejsza rzecz, że jedno oko jest poczciwe, a drugie złe. To poczciwe, nie cierpi uporu, nieposłuszeństwa, kłamstwa, płamienia sukienek, zuchwalstwa, psucia zabawek, słowem wszystkich niegrzeczności. A temu drugiemu wszystko jedno, co kto złego robi, bo ono samo jest złe i niepoczciwe. Czasem się trafia, że to dobre oko zamknie się niechcący, no i masz sobie, już się dziecko staje nieznośne. Tak mi moja mamusia mówiła; spytaj się twojej, to ci powie, że to prawda.

— A któreż jest poczciwe? — spytała Różia, zamykając oczka i macając paluszkami powieki.

— Tego nikt nie wie, tylko sam Pan Bóg i Anioły Stróże.

— A nie skaleczyła się wtedy twoja Lorcja, gdy upadła?

— Ale jakże! wybiła sobie dziurę w głowie, taak, wybiła! Okropność! Wtedy mama zasmuciła się bardzo, podniosła ją z ziemi i zabrała do drugiego pokoju. Nawet Pikusia nie puściła do mnie za karę. Zostałam samiusieńka jedna, i mama powiedziała odchodząc, że mnie wcale nie kocha. Zaczęłam płakać, płakać, no... i zasnęłam. Jak się obudziłam, pomyślałam sobie jedną rzecz: trzeba koniecznie pogadać z poczciwym okiem. Wzięłam ze stołu lusterko, patrzyłam się na siebie i tak powiedziałam: — Moje kochane, dobre oczko! Pilnuj mnie, żebym już nigdy nie była uparta; proszę cię nie zamykaj się nigdy wtedy, gdy niegrzeczność się do mnie zbliża, tylko owszem, odpędzaj odemnie wszystkie złości i zuchwalstwa.

— Drzwi były otwarte i mama, zdaje się, słyszała wszystko, bo zaraz weszła do mego pokoju, pozwoliła się przeprosić i pokazała mi Lorcję z naprawioną głową. O, przypatrz się, ma wklejoną napowrót tę okruszynkę porcelany, co się odtłukła, prawie nie znać, prawda? Pocałowałam ją bieda-

czkę, pośliniłam palec i posmarowałam ranę, żeby się prędzej zgoiła. Jakby się twojej Biñci kiedy co stało, to jej także tak zrób, pamiętaj!

— Zosiu, Pikuś tak na mnie patrzy, może on ciekawy, które moje oczko poczciwe?

— O głowo, moja głowo! Żeby tak o rodzonych dzieciach zapomnieć! — zawołała Zosia, zrywając się z krzesła. — Poczekaj tu na mnie, Róziu, zaraz poznoszę ci wszystkie moje córki.

Za chwilę Zosia przywiozła pełen wózek lalek.

— Ho, ho! co ty masz laleczek!

Ciocia Rózia pokochała odrazu wszystkie dzieci swojej przyjaciółki.

Żadne jednak nie było jej tak miłe, jak Lorcia. Wzięła ją na ręce, chodziła po pokoju, śpiewała jej piosneczki, a od czasu do czasu smarowała tę bliznę na czole domową maścią, jak ją Zosia nauczyła. Potem posłała łóżeczko, ułożyła ją do snu i okryła kołderką.

— A proszę się nie rozkrywać! Zaziębisz się, dostaniesz odry, a wtedy nikt do ciebie nie zajrzy, ani mama Zosia, ani

ciocia Różia, ani Pikuś. Zosiu, już Lorcja śpi.

— To dobrze; teraz weźmiemy się do tamtych. Okropny kłopot tyle dzieci poucierać; żeby przynajmniej nie płakały, nie



dokazywały... ale te dzieci, to czasem takie nieposłuszne, ach Boże!

Z Milcią nie było żadnej biedy: sukienkę miała porządną, bieliznę całą; nic dzi-

wnego, bo Mama na prośby Zosi całe popołudnie wczoraj szyła dla lalki, aby się ładnie zaprezentowała cioci Zosi. Ale Jadzia, Jadzia! W spódniczce dziura, jakby na gwoździu wyrwana, rękaw u stanika odpruty, pończoszki dziurawe, trzewiczki bez guzików.

— Och, ty utrapienie moje!—łajała mama Zosia—wyglądasz jak strach na wróble! Przez płoty przechodziłaś, czy co, żeś tak wszystko poszarpała na sobie? Wszyscy ludzie przez płoty przechodzą, ale uważnie i nie podrą sukienek. Moja sukienka cała, nigdzie ani dziureczki, ciocia Różia pewno także umie ostrożnie się przeciskać, tylko ty jedna, niepoczciwa!

Zwróciła się do Rózi i szepnęła jej:

— Właściwie, trzebaby ją rozebrać i pozaszywać dziury, ale ja tego nie umiem, a ty?

— Ach i ja nie.

— Niedobre z nas mamy; prawdziwe mamy wszystko umieją. Twoja umie wszystko?

— Jakżeby, umie, i jak jeszcze!

— No i co my teraz pocniemy z tym kopciuszkim?

— Dać jej nocną koszulkę i niech siedzi w łóżku, kiedy niegrzeczna. Na drugi raz będzie lepiej uważać.

— Spodziewam się, że Kasia nie zrobi mamie wstydu— rzekła Zosia, wyciągając z głębi wózka blondyneczkę z rumianą buzią. — Ach te dzieci, te dzieci! Cóż mi z tego, żeś nie podarła sukienki, kiedy plama na plamie! Doprawdy życie mi się przykrzy z wami!

— Pewno Kasia łakoma, niegrzecznie jada, może języczkiem talerz po lęguminie wylizuje? toby było szkaradnie! — mówiła ciocia Różia z surową minką.

— To też prawie codzień bierze za to klapsy — odparła, mama Zosia, wzdychając. — Koniec świata! Elżuniu, gdzieżeś podziała swoje rzeczy? Przecie Pan Bóg cię w samej koszulce nie stworzył? Wczoraj jeszcze miałaś śliczne ubranie. Przypatrz się Róziu, co za uparciuch: ja ją pytam, a ona leży twarzą do ziemi, ani się odezwie, ani się ruszy. Gadaj mi zaraz, niepocziwe stworzenie!

— Zdaje mi się, że pod twojem łóżkiem coś widzę, zauważyła Różia.

— Ach prawda. Co za nieporządny

malec, wiecznie tak wszystko rozrzuca.
A jakie to pomięte, powalane!

— Ej, Zosiu, nie gniewaj się na Elżunię, ona temu nie winna...

— Pst... cicho... ja wiem; ale wolę przecie zburzyć lalkę, niż siebie. Chciałabym się poprawić...

— A to tak trudno, prawda?



III.

W pralni.

— **S**ŁUCHAJNO, Róziu, tu doprawdy nie obej-
dzie się bez prania, muszę pogadać
z Małgosią.

To mówiąc, Zosia skoczyła do kuchni.

— Małgoś! Mnóstwo brudnej bielizny
i sukienek; patrz, pełen fartuszek.

— Niech Zosia położy tam w kąci-
ku. Na przyszły tydzień przychodzi praczka,
to się te wasze rzeczy razem z dużą bie-
lizną wypiorą.

— Ale! jeszczeby też! To moje biedne
dzieci cały tydzień chodziłyby bez koszu-
lek? Także robota! Wstydziłabym się lu-
dziom w oczy spojrzeć, cóżby ze mnie za
mama była? Moja Małgosiu, my sobie same

wszystko ślicznie wypierzemy w kuchni, tylko proszę przyrzadzić nam balijkę.

— No no, cóż z wami robić, niech i tak będzie.

Mówiąc to, poczciwa Małgosia, postawiła w kącie kuchni niską, szeroką ławeczkę, a na niej mały cebrzyk.

— Cóż to mam prac w cebrzyku, nie w balji?

— Co wam po balji, tu się jak raz z całym kramem pomieścicie.

— Aa... jaka Małgosia poczciwa! Mammy i ciepłą wodę i kawałek mydła—pyszności!

— No, marsz do roboty! Nie wolno próżnować!—zakomenderowała Zosia.

— Kiedy ja nie dostanę do balji! To dla mnie za wysoko! — krzywiąc buzię zapiszczła Różia.

— A zaraz się mazgaić! fe, taka duża dziewczyna. Wleż na stołek i koniec.

— A prawda, teraz mi doskonale.

— No widzisz. Nalej mi wody z tego dzbanka i podaj mydło.

— A ja mogę mydlić?

— Weź koszulkę albo spódniczkę i pierz, tylko szoruj dobrze, bo tu żartów niema;

sama woda i mydło brudu nie wypierze,
trzeba rąk dołożyć. O tak!

— Jaka śliczna piana! Banieczki się
robią różowe, zielone, niebieskie, złote...



o, jedna uleciała w powietrze... gdzież się
podziała? Ach jaka to ciężka robota to pra-
nie! Żebyż choć koszulki były czyste!

— Patrzajno, takie mam pomarszczone palce i dłonie, jak u naszej Janowej.

— Kto to Janowa?

— Taka sobie uboga kobieta, praczka. Myślę, że już będzie dosyć, trzeba tylko wypłukać parę razy w czystej wodzie. Małgosiu, moja droga, proszę nam wylać te mydliny. Róziu, nalewaj czystej wody. Jak się wypłucze, powiesimy, żeby wyschło i już.

— Ale doprawdy czyste — pochwaliła Małgosia, — porządnie się dzieci spisały.

Zestawiła cebrzyk na podłogę.

— Usiądźcie se obie na ławeczce, dostaniecie chleba z masłem i mleka; praczkom zawsze się daje śniadanie.

Wkrótce dzieci zajadały ze smakiem.

— Wiesz, możemy wszystko zjeść, ani okruszynki nie zostawić, my nie Janowa.

— A Janowa co?

— Janowa zawsze chowa chleb z masłem, albo bułkę do koszyka; a powiedzieć ci na co? Bo ma w domu maleńką Hanusię, więc to dla niej. Opowiem ci o Janowej. Ona jest bardzo uboga, nie ma męża, musi chodzić do prania, żeby sobie zarobić troszkę pieniędzy. Raniutko, kiedy jesz-

cze wszystkie dzieci śpią, a nawet starsi jeszcze leżą w łózkach, biedna Janowa już się zrywa i biegnie do roboty. Żeby nie zbudzić Hanusi, wychodzi boso z domu, cichuteńko drzwi przymyka i dopiero w sieni wdziewa trzewiki. Dziecko się obudzi, woła mamy, a mamy już niema.

— Biedna Hanusia!

— Prawda? Ale nie płacze, jest bardzo grzeczna; sama wstaje, sama się myje, czesze, ubiera, mówi pacierz i pije mleczko, które jej mama zostawia.

— A z kimże rozmawia, jak jej się chce mówić?

— Z nikim, sama musi się bawić. Janowa mówiła, że w kąciku na oknie mają dużego pająka; Hanusia przypatruje mu się często, mówi do niego, wypytuje się go, czy to trudno robić takie cieniutkie niteczki i kto go tak prząść nauczył, ale pająk ani be, ani me. Jak się Hanusia trochę pobawi, to się bierze do roboty.

— Do jakiej roboty?

— O! ona już umie pończochę robić, doprawdy! Tylko pięty i palców jeszcze się nie nauczyła, to już Janowa za nią wieczorem wykończa.

— Ach... ja jeszcze nigdy nawet drutów w rękę nie miałam.

— Bo jesteś jeszcze mała. Ja także dopiero się uczę robić podwiązkę i bardzo mi jeszcze nieświetnie idzie. Ileż ty masz lat?

— Nie wiem, może czternaście...

— Ej, co też ty pleciesz; ja daleko starsza jestem od ciebie, a mam dopiero ośm. A ośm to mniej niż czternaście.

— Hanusia pewno umie szyć i sukienki dla swoich lalek?

— Kiedy ona nie ma ani jednej lalczki.

— Jakto? A cóż dostaje od swojej mamy na imieniny?

— Pewno nic; przecie Janowa nie ma za co kupować zabawek.

— O mój Boże!

— Poczekaj, przyszło mi coś ślicznego do głowy. Gdybyśmy miały co do zjedzenia, albo jaką zabawkę, to byśmy poszły do Hanusi; niby to będą dzisiaj jej imieniny, a myśmy przyszły jej powinszować. Ale bez maminego pozwolenia nie można zabawek darowywać, a nie mam ani ciasteczka, ani cukierka.

— Ja mam dwa jabłuszka! — zawołała Różia, podskakując do góry.

— Wybornie! To chodźmy do Hanusi; to niedaleko stąd, zaraz na podwórzu są w kąciku drzwi do Janowej. Ale pierwej wpadniemy na minutkę do ogrodu.

— Poco?

— Zobaczysz.

Zosia wyjęła z szafki małą blaszaną foremkę i talerzyk, i dziewczynki wyszły do ogródka. Tam Zosia nakładła w foremkę gliniastej ziemi, obróciła foremkę dnem do góry i postawiła na talerzyku: śliczny torcik wyszedł z formy. Zosia wetknęła u góry trzy różowe stokrotki, nibyto kwiaty z cukru i obie z Rózią poszły z tem w odwiedziny do Hanusi.

Matki jej i dziś nie było w domu, poszła do prania, jak zwykle. Przy dużym stole pod oknem siedziała Hanusia i przebierała fasolę. Na widok niespodziewanych gości aż jej się oczka zaśmiały.

— Winszujemy ci imienin! — zawołała Zosia, podając jej rączkę, a ciszej dodała: wiesz, myśmy przyszły pobawić się z tobą, niby to są twoje imieniny.

I dziewczynki wręczyły solenizantce wiązanie: śliczny tort do patrzenia i wyborne jabłuszka do jedzenia. Różia obejrzała się po izbie.



— A gdzież ten pajak? Nie widzę go w oknie.

— Może poszedł gdzie na spacer; czasem go cały tydzień niema.

— Pewno ci się przykrzy tak samej siedzieć?

— Dlaczego? Mam tyle fasoli do przebierania, gdzieżby mi się przykrzyło; jak mama przyjdzie do domu, wszystko musi być gotowe.

— A jakże to robisz?

— Dobre i zdrowe ziarna wrzucam do tego garnka, a zepsute albo robaczywe odsuwam na bok.

— A te różowe, fioletowe i pstrokate, to co?

— To są panie w pięknych sukienkach; zobacz, weź pudełko do ręki, tylko nie wysyp na ziemię.

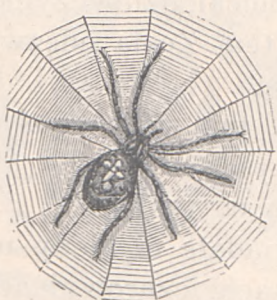
— Cóż ci po takich paniach! Ani do nich zagadać, ani ich ubrać, ani rozebrać.

— O... ślicznie się można bawić. Robię sobie pokoiki ze zwyczajnych fasolek; w największym mieszka najładniejsza fasola, nibyto królowa, a w mniejszych jej córki. Potem inne panie przychodzą na wizytę do królowej, piją herbatkę, jedzą ciasteczka, opowiadają sobie historyjki, potem kłaniają się aż do ziemi i wnoszą się do swoich domów. Czasem i ja opowiadam im bajeczki, ale to tylko wtedy, jak niema

nikogo, chyba pajak siedzi na oknie. Ale pająka to się nie wstydzę.

— Oj Róziu, Róziu! Coby Janowa powiedziała, żeśmy jeszcze bielizny nie powiesiły! Leży w balji mokra... strach! Biegnijmyż prędko rozwiesić ją!

— Do widzenia, Hanusiu! my tu jeszcze kiedy przyjdziemy do ciebie.



IV.

Co wiatr wyrabia.

†**I**DAC śpiesznie przez ogród i trzymając się za rączki, dziewczynki z początku milczały. Wtem Zosia odezwała się z miłą tajemniczą:

— Róziu, tak się czegoś boję... czy ty nic nie słyszysz?

— Nic, a co takiego?

— Opowiadała ci kiedy mama o wróżkach, karzełkach, czarownicach?

— A jakże; o Kopciuszku, o mądrym kocie, o sierotce Marysi... jeszcze dużo innych...

— No to wiesz, że bywają dobre wróżki i niepocziwe czarownice. Jakaśmy wychodziły od Hanusi, zdawało mi się, że słyszę cieniutki głosik: „śpieszcie się dzieci, bo wam baba-Jaga bieliznę ukradnie.”

— Toby było straszne! Lećmy, lećmy!
Na szczęście, bielizna leżała jeszcze
w zimnej wodzie w cebrzyku. Dziewczynki



wykręciły ją do ostatniej kropli, Małgosia
zaczepiła na gwoździach dwa sznury, na
wyższym wieszała Zosia wszedłszy na sto-

łeczek, na niższym Rózia, wspinając się na palcach.

— Uff... a tośmy się namęczyły.

— Szkoda, że dziś słońca niema; gdyby poświeciło dobre tylko pół godzinki, bieliznaby wyschła jak nic. Pewno to słońce dziś sobie odpoczywa; gdzieżby mu się chciało tak codzień chodzić po niebie. Ludzie mają niedziele i święta, zwierzęta odpoczywają, gdy się napracują, pewnie Pan Bóg i słońcu daje czasem wakacje.

— Moje słońeczko, moje śliczne, — przy-
miląła się Rózia, patrząc w niebo przez
okno, wyjdź ze swego zachmurzonego dom-
ku, pokaż się choć na chwilkę!

Ale słońce pewno spało jeszcze i nie
słyszało Rózi, bo ani jeden promyczek nie
przedarł się przez grube chmury.

— Wiesz, ktoby nam jeszcze dopo-
mógł? Wiatr. Ten, jak chce, to dmucha,
gwizdże, świszczę, lata po świecie jak wa-
ryat; gdyby tak bieliznę w ogródku powie-
sić, zarazby ją wysuszył. Ale już nie warto
zdejmować ze sznurów, poczekajmy.

— O, wiatr to czasem porządne awan-
tury wyprawia, znam ja go! Kiedyś mi
zerwał kapelus z głowy i targał nim po

ulicy jak piłką. Im prędzej biegłam, żeby go złapać, tem lepiej nim rzucał. Nareszcie dogoniłam mój biedny kapelusik, a wiatr hi, hi, hi zaświstał mi w samo ucho. Wyśmiewał się ze mnie. Zosiu! Że mu też nikt nie każe cicho siedzieć!

— Ludzi on nie słucha, ale gdy nadto dokazuje, to Pan Bóg gniewa się na niego i sadza go na pokutę. Nieraz i cały tydzień najmniejszego wiatorku niema. Tak sobie tylko odrobinę listki ruszają się na drzewach, ale to nie wiatr. Mamusia mówiła, że i wiatr, i deszcz, i słońce, i wszystko co żyje, musi słuchać Pana Boga.

— Ach, żeby mu Pan Bóg kazał zawsze siedzieć na pokucie!

— Co też ty wygadujesz, Róziu! A kto by co robił za niego? Gdy ziemia mokra po deszczu, że aż kałuże wody stoją, któż ją wysuszy, jeżeli nie wiatr? A mało to utrapienia z chmurami? Nazłazi ich się na niebo tyle, że biedne słońce rady sobie z niemi dać nie może, wtedy Pan Bóg posyła wiatr. Fiu, fiu, fiu... tędy, owędy, porozdziera grube chmurska na drobne szmateczki, porozpędza, jedne idą podobno daleko do morza, inne znów dalej do gorą-

cych krajów, żeby tam dały deszcz usychającym kwiatkom i zbożom, a tu zostawi tylko trochę białych obłoczków na niebie. Wtedy słońce się cieszy i świeci sobie od rana do wieczora, jak samo chce. No powiedz, Różyczko, czy nie byłaby straszna bieda bez wiatru?

— Ach prawda; przepraszam pana, panie wietrze, nie myślałam, że pan taki pracowity. Mnie się zdawało, że pan lubi na złość robić. Niech się pan na mnie nie gniewa! Ale żeby tak pan był łaskaw wskoczyć na moment do kuchni i podmuchać na naszą bieliznę; mój dobry wiaterku!

Dzieci weszły do kuchni.

Wtem dzień-dziń-dziń... coś wstrząsnęło oknem, aż szyby zadzwoniły.

— Zosiu, czy to on?

— A tak. A wiesz co mówi?

— No?

— Niemądre dziewczynki, czemużście nie wyszły do mnie do ogródka, albo przynajmniej na podwórze? Gdzieżbym ja się zmieścił w kuchni, postrącałbym garnki, łądkę, potłukłbym szklanki, talerze, poprzeracał stołki; kucharka naprzezywałaby mnie ostatnimi słowami i wyrzuciła za

okno. Nie potrzebuję. Wolę pozostać z moim przyjacielem kasztanem i z moją przyjaciółką lipą, z temi przynajmniej nagadam się i nikt mnie za to nie wyłaje.

— Ciekawam, o czem oni z sobą rozmawiają?

— Pewno im wiatr rozpowiada swoje różne figle. Bo on zawsze jest w dobrym humorze: dmucha, tańczy, skacze, śpiewa, gwizdże i tak wesoło odrabia wszystko, co mu Pan Bóg każe. Ale ma on dwóch starszych braci, okropnie złych. Jeden się nazywa wicher, a drugi to podobno huragan, mama mi o nich dużo opowiadała. Wicher łamie młode drzewka, wyrывa z zawias okna źle zamknięte, dokucza ludziom i zwierzętom; nieznośny! A huragan... ten już najgorszy! Wyobraź sobie, Różyczko, że on potrafi całe dachy zrywać z domów.

— Ee... coś sobie wymyślasz!

— Jak cię kocham tak prawda. Raz na wsi, tam, gdzieśmy były z mamusią przez lato, wicher zerwał w nocy całutki dach z karczmy i zaniósł go kilkadziesiąt kroków dalej. Sama to na drugi dzień widziałam; biedna karczma siedziała taka przestraszona, taką miała niemądrą minę bez

swojej czapki; a dach leżał połamany na placu przed kościołem. Oho, to jeszcze nie wielkiego, huragan to jeszcze gorsze rzeczy robi. Wyrывa ogromne, najgrubsze drzewa w lesie i przewraca je tak, że leżą korzeniami do góry, a na morzu zatapia okręty z ludźmi i ze wszystkim, co jest na nich.

— Ach, to okropność! I Pan Bóg pozwala na to?

— Czasem pozwala; może to za karę, że ludzie źle robią, a może ludzie zapomnieli o Panu Bogu i nie modlą się do Niego! Jak spadnie grad i postrąca jabłuszka z drzew, popsuje zboże—to ludzie proszą Pana Boga, żeby się zlitował i gradu nie zsyłał. Gdy zanadto długo deszcz pada, to się znów ludzie modlą o pogodę; Pan Bóg wysłuchuje modlitw i daje ludziom urodzaje, pogodę, ciepłe słoneczko; trzeba o wszystko modlić się do Pana Boga, żeby złe od ludzi odwracał. Mamusia mówiła, że Pan Bóg bardzo lubi, gdy Go małe dzieci o co proszą.

— Ach, Zosieńko, to się będziemy codzień modlić, a żeby ten wietrzysko ludzi nie zabijał ani na morzu, ani na ziemi.

— A nasza bielizna? Zapomnialiśmy o niej na śmierć.

— Pewno już dawno wyschła.

Zosia i Różia pobiegły do sznurów.

— Suchusieńka! Co za szkoda, że nam nie wolno jeszcze samym prasować!

— Dlaczego?

— Bo mama zabroniła; mogłybyśmy sobie ręce poparzyć. Musimy czekać, aż Małgosia obiad wyda, to nam wszystko poprasuje. Tymczasem chodźmy do naszych dzieci, pewno tam płaczą bez nas.

— A... jak się macie córeczki? Cóż, nudno tak leżeć bez sukienek, prawda?


— Widzicie, nie trzeba było plamić i walać. Tylko Mińcia i Bińcia mogą pójść z nami, reszta zostanie w łóżeczkach. Ale gdyby wam było czego trzeba...

— Biedne dzieci; może niech już lepiej wszystkie razem siedzą, zazdrościłyby tamtym.

— Przecie choć jedną musimy wziąć do zabawy; Bińcia gość, pójdzie z cicią Zosią, Milcia niech pilnuje młodszych siostrzyczek. Gdybyście czego chciały, to zapukajcie do maminego domku.

V.

Zbudujmy sobie domek.

 GDZIEŻ ty masz swój domek? — spytała Różia, oglądając się na wszystkie strony.

— Dopiero go zbuduję; założę się, że nie zgadniesz z czego.

— Wiem, wiem! przewrócisz dwa krzeselka i postawisz razem, to będzie pokoik.

— Piii... tylko ściany, bez dachu, to nie sztuka. Zobaczysz jaki ja zrobię przyjemny domek. Trzeba tylko wybrać dobre miejsce: po jednej stronie ustawimy kuchenkę, po drugiej, w kąciku, będzie także izdebka, a główny pokój... hi, hi, hi, widzisz, że nie wiesz!

— No to powiedz!

— Chodź-że ze mną.

Dziewczynki wybiegły z dziecinnego pokoju, przez jadalny do pokoju taty.

— Tatusiu—zawołała Zosia, uchylając drzwi.

— Oho, cóż tam nowego?

— Nic nowego, mój tatusiu, proszę mi pożyczyć swego parasola.

— Na co?

— Budujemy sobie domek.

— Zachciewa ci się; gdy go dam w twoje rączki, musiałbym zaraz jutro drugi kupować. Proszę nie ruszać, nie wolno!

— Jaki tatuś! Ale ja nie chcę tego ładnego, jedwabnego, proszę o ten stary, ogromny, co go tatuś zawsze z sobą bierze, gdy jedzie na wieś do chorego. Można?

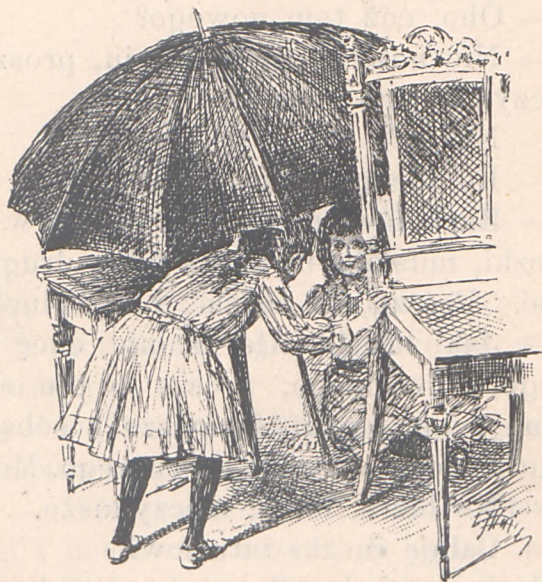
— No bierz, bierz, męczyduszo.

— Całuję rączki tatusiowi.

Zosia porwała olbrzymi parasol z kąta, i wróciła z Rózią na plac budowy.

— O, widzisz, to się tak robi: otwiera się porządnie parasol i stawia się go na ziemi. Tu mamy kuchnię, tu graciarnię, a tu będziemy mieszkały. Z tej strony postawimy krzesło, to będą drzwi; kto wchodzi, drzwi za sobą zamyka, żeby nie było prze-

ciągu. Wiesz, będziemy się bawić w Janową. Posadź swoją Bińcię w pokoiku; Bińcia, to będzie Hanusia. Ja jestem mama, wracam z prania. „Jak się masz Hanusiu,



stęskniłaś się za mamą? Ktoś puka, to pewno ciocia Różia przyszła nas odwiedzić.” Ee... źle tak się bawić... lalka nic nie gada, czekaj, zrobimy inaczej. Usiądź ty w domku, ty będziesz Hanusią, dobrze? Więc słuchaj, ja wchodzę.

— Hanusiu, Hanusiu, otwórz-no drzwi, mama idzie!

— Ja się boję; może to nie mama, może to wilk, co chciał zjeść kózkę.

— Nie poznajesz maminego głosu? Czyż ja tak grubo buczę jak wilk? Zobacz moje ręce, czy to takie łapy u wilka?

Zosia wsunęła rączki przez szczebelki stolka i pokazała je Rózi.

— Teraz widzę, że to mama!

Drzwi się otworzyły, Janowa i Hanusia ucałowały się i usiadły pod parasolem.

— Był tu kto dzisiaj? — spytała Zosia, strojąc poważną minkę.

— Nie, mamusiu.

— A macocha śnieżyczki nie przychodziła przypadkiem? Może ci dała jabłuszko? przyznaj się. Takie czarownicze jabłuszko bywa zatrute, a kto zje truciznę, musi umrzeć.

— Nie, mamusiu, żadna czarownica tu nie przychodziła.

— Opowiedzieć ci bajeczkę?

— Ach, proszę opowiedzieć!

— Była sobie raz jedna mama i miała dwoje dzieci: Franusia i Kasię. Kasia była starsza, miała, zdaje się, tyle lat co ja,

a Franuś tyle co ty. Mieszkali w chatce pod lasem, bo ich tatuś był gajowym.

— Co to gajowy?

— To taki człowiek, co porządku w lesie pilnuje. Jednego razu poszły sobie dzieci do lasu zbierać poziomeczki. Idą, idą, aż tu patrzą, w trawie stoi maleńki stoliczek. Miał tylko jedną nogę, ale trzymał się mocno, nic się nie chybotął. Z wierzchu był śliczny, czerwony, w białe plamki. „Kasiu, mówi Franuś, to pewno karzełki jadły tutaj obiad i zapomniały swego stoliczka. Usiądźmy przy nim, nadbiegnie karzełek, to go zobaczymy; może nam da co ładnego, to zaniemiemy mamie.” I usiedli. Czekaają, czekają, nie widać karzełka; Franuś pomacał palcem czerwoną skóreczkę i oblizał paluszek... słodkie! Ułamał kawałeczek, „Kasiu, zjedźmy ten stoliczek, bardzo smaczny.” Ale Kasia nie chciała, bała się, bo mama jej nieraz opowiadała o różnych truciznach, o wilezych jagodach, których jeść nie wolno, choć ładnie wyglądają. Franuś zjadł jeden kawałeczek i drugi, a choć go Kasia bardzo prosiła, nie chciał jej słuchać, zjadł cały stoliczek. Zobaczył za drzewem drugi taki sam i zjadł go także. Wiesz Ró-

ziu... a prawda, pomyliłam się, nie Róziu; wiesz Hanusiu, co to było? To był grzyb jadowity, nazywa się muchomor. Potem dzieci wróciły do domu; aż tu Franuś zaczyna płakać, że go brzuszek boli. Coraz gorzej mu było, coraz gorzej, jego tatuś przyjechał po mego tatusia, dawali mu różne lekarstwa, ale nie pomogło, biedny Franuś umarł. Wiesz co to umarł? Już nie mówił, nie ruszał się, oczka miał zamknięte... zakopali go w trumience do ziemi, a dusza poszła do nieba.

— Jaka dusza?

— No ta jego dusza. To co się patrzy przez oczka, co się śmieje przez buzię, co mówi, co każe serduszku kochać mamę, tatusia i wszystkich, co posyła łzy do oczek, gdy widzimy ubogie głodne dziecko — to jest dusza. A gdy Franuś umarł, to Bozia zabrał jego duszę do nieba, żeby tam była aniołkiem ze skrzydełkami.

— A za cóż go Bozia zrobił aniołkiem, kiedy on był niegrzeczny i łakomy?

— Ale widzisz, maleńkie dzieci rozumu nie mają i biedny Franuś nie wiedział, że źle robi.

— A ja widziałam raz muchomora, do-

prawdy. Nasza kucharka Regina, przyniosła raz taki czerwony grzyb do domu, pokrajała w kawałki, ugotowała w mleku z cukrem i postawiła z talerzykiem na oknie. Za godzinę wszystkie muchy się wytruły, aż czarno było na talerzyku.

— Zajrzyjmy też nareszcie do naszych dzieci, co one tam robią same. Może która zjadła co niezdrowego i płacze, a my nie wiemy. Trzeba im będzie ostro zapowiedzieć, żeby muchomorów nawet paluszkami nie dotykały.

— Gdyby która umarła, to jabym bardzo płakała.

— Najlepiej, żeby nigdy same z domu nie wychodziły. Milcia myśli, że najstarsza to jej wszystko wolno; gotowa jeszcze kiedy oknem wylecieć, tak się wychyla. Okropnie ciekawa co się na ulicy dzieje. A możeby twoja Bińcia trochę się przejechała? Masz wózeczek, posadź ją i biegaj naokoło pokoju. Tylko uważaj, żeby nie spadła, bo by sobie nosek stłukła. Zamknę parasol, dośyć już mamy zabawy w domek.

VI.

Bajeczka o pokrzywie.

MOJA droga Różyczko, baw się teraz sama, ja wyjdę na chwilkę.

I Zosia wybiegła z pokoju.

Tymczasem Różia porwała wózek i dalej z nim galopować. Coraz prędzej, coraz prędzej... A nuże koniku! Laleczka jedzie na wieś, wiooo! Droga równa, górki niema, rowu niema, wioo koniku! Biegnie, biegnie, aż jej się w główce zawróciło i bęc nią o stół, a wózeczek trafi o stołową nogę. Jedno kółko odleciało. Różia w płacz. Na szczęście, w tej chwili wróciła Zosia.

— Oo, a co się to stało? Moja biedna Różyczka! boli główka? Ej, niebardzo! daj,

Zosia podmucha, pocałuje, i zaraz się zgoi. Ale czekaj, umoczę chusteczkę w wodzie, umyję ci oczka, żeby nie były czerwone. Prawda, że już nie boli? A wózek głupstwo, Małgosia go zaraz naprawi. Poczekaj



minutkę, w tej chwili wrócę, tylko wózek do kuchni zaniosę.

I rzeczywiście, zanim się Różia opamiętała, jeszcze jej oczka z łez nie oschły, już Zosia była z powrotem.

— Patrzajno, co ja niosę?

— Książki... cóż nam po nich, kiedy czytać nie umiemy.

— Będziemy sobie „nibyto” czytać, nibyto śpiewać z nut, bardzo ładnie pobawimy się książkami. Siadajmy. Róziu zaczynaj. Lorcia i Bińcia niech nie przeszkadzają mamie i cioci; możecie słuchać, bardzo ładne wierszyki i bajeczki. Ty Pikuś, możesz także posłuchać, ale siedź cicho, rozumiesz! No, Róziu zaśpiewaj.

— Kiedy ja tylko umiem „Wlazł kotek na płotek.”

— Nic nie szkodzi, zaczynaj, potem ja.

Wlazł kotek na płotek i mruga,
Ładna to piosneczka, nie długa.
Wlazł kurek na murek i pieje—
Każdy się z tej piosnki naśmiej.

Teraz ty! Więcej nie umiem.

Na południu stoi matka Babia góra,
Urodziła się jej, śliczna Wisła córka; (bis).
Matko Babio góro, puść mnie z góralami,
Bo mi tutaj tęskno, pomiędzy górami. (bis).

Dziewczynki z wielkim zapalem prześpiewały wszystkie zwrotki krakowiaka; wprawdzie Różia nie umiała ani słów, ani

melodji, ale wtórowała Zosi z całego serca, piszcząc w niebogłósy; aż Pikuś zerwał się na równe nogi i podniósłszy mordkę do góry, zawył żałośliwie.

— Widzisz, i Pikuś chce z nami śpiewać, ale tak jakoś po psiemu. Dosyć się już naśpiewaliśmy, teraz będziemy czytać. Umiesz jaką bajeczkę, Róziu?

— Pamiętam kilka, bo mi mama prawie codziennie ślicznie opowiada; ale sama pewno nie potrafię opowiedzieć, to tak trudno. Zresztą, ty je znasz także, prawda?

— Czekałże, to ja ci z tej książki opowiem powiastkę o niepoczciwej pokrzywie. Będę „nibyto” czytać, ale słuchaj uważnie.

Na ogromnym śmiecisku przy płocie, rosła sobie pokrzywa. Sama jedna mieszkała na tej górcie i bardzo się pyszniła, że ma takie wspaniałe miejsce. Żaden kwiatek, ani najmniejsze ziółko nie chciało rosnąć w pobliżu tej pokrzywy, ona się też cieszyła z tego, bo nie cierpiała nikogo, a kochała tylko samą siebie. Jednego razu przypiekło ją słońce gorące, potem spadł grad okropny i poszarpał jej listki, połamał gałązki. Pokrzywa rozchorowała się ciężko. Leżała na śmiecisku w gorączce, ale nikt

jej nie pożałował, nikt jej kroplą wody nie orzeźwił—myślała, że umrze. W nocy trochę jej ulżyło, bo spadł deszcz niewielki, ale na drugi dzień znowu był straszny upał. Tydzień minął, pogoda ciągle trwała, pokrzywa usychała z pragnienia, a nie miała nikogo, żeby się poskarżyć, nie miała sąsiadki, któraby jej powiedziała: „nie płacz kochana przyjaciółko, Pan Bóg miłosierny nie zapomni o nas biednych sierotach.” Płakała, wzdychała od rana do nocy, a ciągle była samusieńka jedna. Nareszcie, taka ją tęsknota ogarnęła, że postanowiła przeprowadzić się na inne mieszkanie. Żal jej wprawdzie było wysokiego zameczyska, potłuczonych talerzy w kwiatki, szklanych szybek i kolorowych jedwabnych strzępków, których moc była na śmietniku, ale tak sobie pomyślała: „Czy w chorobie, czy w smutku, zawsze lepiej mieć kogoś przychylnego. Co mi po bogactwach, wolę zamieszkać w pobliżu mojej krewniaczki, innej pokrzywy, która ma zabawne nazwisko, bo się nazywa głucha pokrzywa.”

— Głucha? przecież pokrzywa niema uszu?

— Właśnie dlatego, że niema uszu, to się nazywa głucha.

Jak sobie postanowiła, tak też zaraz następnej nocy wyruszyła w drogę. Ciężko jej bardzo było rozstać się z ukochanemi skorupami i szmatami, bolało ją wszystko, ale wreszcie przed samym wschodem słońca znalazła na miejsce. Krewniaczka jej miała zaciszny kącik między grządkami w ogrodzie kwiatowym. Stała skromnie na boku, w swojej zielono-brązowej sukience i kwitła sobie różowemi kwiatkami. Nad drzwiami jej domku był napis: „gospoda pod plastrem miodu.” A wiesz Różyczko, dlaczego miała taki napis?

— No, dlaczego?

— Bo w swoich kwiateczkach miała bardzo słodziutki soczek i pszczoły codzień do niej po miód przychodziły. Przyjmowała je zawsze gościnnie i zapraszała, żeby ją jaknajczęściej odwiedzały. Pszczołki bardzo kochały pocziwą głuchą pokrzywę. — Pewnego dnia, nazlatywało się ich mnóstwo do tej gospody; tłok był ogromny. Jedna młoda pszczołka, nie mogąc się docisnąć, odleciała, a widząc po drugiej stronie grządki domek podobny do gospody pod plastrem

miodu, zapukała do drzwi z całym zaufaniem.

— I cóż się stało?

— Pokrzywa wyskoczyła do niej ze złością, zaczęła ją łajać i tak ją biła swojemi parzącemi listkami, że biedna pszczołka ledwo z życiem uciekła.

Brzęcząc i płacząc, dowlokła się do gospody swojej przyjaciółki i upadła na progu bez sił. „O moje biedactwo kochane!—zawołała głucha pokrzywa—któż cię tak pokaleczył? Usiądź prędyutko na tej gałązeczce, podmucham ci na skrzydełka, żeby nie bolały. Powiedz, co ci się stało?”

Z początku pszczołka ani słówka wymówić nie mogła, jęczała tylko i stękała. Ale gdy jej wiano do buzi parę kropelek miodu, orzeźwiła się i opowiedziała, jak okrutnie z nią postąpiła ostra pokrzywa.

— I nie skarał jej Pan Bóg za takie niedobre serce?

— Zaraz się o tem dowiesz. Myślisz może, że jej było żal biednej pszczołki? Gdzietam! Jeszcze i motylkowi jednemu chciała tak samo dokuczyć, ale on się zawczasu spostrzegł, co to za szkaradnica, tylko jedną nóżkę trochę sobie oparzył i za-

raz uciekł. Szczęście, że mu skrzydełek nie potargała; gdyby kwiatki takiego obszarpańca zobaczyły, mogłyby myśleć, że to jaki łobuz. Ale on się zemścił za swoją i pszczołki krzywdę. Obleciał cały ogród, z każdym kwiatkiem pogadał; zacząwszy od róży i jaśminu, a skończywszy na białym rumianku polnym, wszystkim, wszystkim kwiatkom opowiedział, co to za jedna ta pokrzywa. Kwiatki pospuszczały główki ze wstydu, że się między niemi znalazła taka czarownica. Bratek, co ma takie dobre serduszko, aż się spłakał z litości nad biedną pszczołką, a słonecznik odwrócił się plecami, żeby nie patrzeć na to szkaradne ziele.

Prawda Róziu, że zasłużyła na to?

— Ach tak! Mogła przecie przeprosić; czyż to tak trudno powiedzieć: „już tego nigdy, nigdy nie zrobię!”

— Słyszałaś kiedy, żeby uparte dziecko przepraszało mamę? A pokrzywa to jeszcze daleko gorsza niż dziecko uparte. Ho, ho, ona nawet ludziom nie darowała, kto tylko zbliżył się do niej, uciekał czempredzej. Z każdym dniem stawała się nieznośniejsza. Skończyło się na tem, że wszystkie kwiatki odsunęły się od niej, został tylko

kolący oset i jakiś brzydki łopuch. Te się nikogo nie boją.

I znowu musiała żyć osamotniona, niecierpiana, jak na wygnaniu. Ani motylek, ani biedronka, ani pszczołka, ani nawet osa nie przelatywały koło niej. Każdy wolał drogi nałożyć, byle na nią nie spojrzeć. Kwiatki co rano mówiły sobie „dzień dobry,” chwaliły się, że wybornie spały, że się napiły rosy słodziutkiej, a do niej nikt słówka nie zagadał. A głucha pokrzywa to aż raki piekła, gdy ją kto spytał: „Czy to bliska krewna pani, ta niedobra osoba, co mieszka po drugiej stronie grządki, między ostem a łopuchem?”

Po jakimś czasie—słońce ślicznie świeciło, kwiatki pachniały, wiśnie dojrzewały, ptaszki śpiewały, a pokrzywie coraz bardziej się przykrzyło na wygnaniu. Już nie mogła wytrzymać dłużej i myśląc, że jej to co pomoże, postanowiła znowu poszukać innego mieszkania. Zła była na motylka, że ją przed wszystkimi kwiatkami obmówił i gdyby go tylko złapała, miałby się z pyszna.

— Trudna rada, trzeba się przenieść daleko, daleko, w inną stronę ogrodu, gdzie może nie słyszano o mojej awanturze z pszczo-

łą,—rzekła sobie i powędrowała znów nocą, gdzie oczy poniosą.

Zaszła na śliczny trawnik, w środku którego rosły piękne kwiaty ułożone w deseń, niby dywan.

— Tu mi będzie doskonale,—rzekła do do siebie i wpakowała się między te kwiatki. Kwiatki pobudziły się zaraz po wschodzie słońca, bo kwiatki lubią raniutko wstawać, nie tak, jak to czasem dzieci, co z płaczem wyłazą z łóżka.

— Skądże ty to wiesz?—spytała czerwieniąc się, Różia.

— Aha, to i ty także? Ja tylko tak sobie mówiłam. Posłuchajno, co się dalej stało. Więc raniusieńko pobudziły się kwiatki, patrzą, co to za gość jakiś nieznamy, aż tu jakiś kwiatek jak nie krzyknie: „chwast! chwast! słabo mi...

— Dlaczegoż się tak nastraszył?

— Pewno słyszał coś o pokrzywie od motylka.

Strach ogarnął i inne kwiatki; nuż się tulić jedne do drugich, pochowały główki między liście i szepcząc sobie coś do ucha, zamykały czempredzej kielichy. Zdawało im się, że przebrzydła pokrzywa zaraz je

pozabija. A pokrzywa tymczasem jeszcze gorzej się bała niż one.

— Ach, to takie wielkie państwo, — myślała — a ja proste pospolite zielsko; pewno mnie stąd zaraz wypędzą.

I zgięła się we dwoje, opuściła gałązki do ziemi, udawała zwiędłą, żeby jej tylko dano spokój. Z godzinę tak siedziała skurczona i tylko spoglądała z ukosa, co kwiatki robią. Widząc jednak, że cały klomb jakiś nieswój, kwiaty wylękłe, onieśmielone, rozzuchwalała się, zadarła głowę, wyprostowała gałęzie i zaczęła patrzeć na całe towarzystwo z góry, jakby na swoich niewolników. Mało jej tego było. Wkrótce szturchnęła jeden kwiatek, drugi, a widząc, że się nie bronią, zaczęła na nie krzyczeć, łajać, rozpychać je, dawać im klapsy.

Wtem nadszedł ogrodnik. Zaglądał on codziennie zrana do swoich kwiatków, bo je bardzo kochał, a wieczorem, gdy ziemia była sucha, podlewał je wodą. Odrazu spostrzegł, że się coś złego dzieje.

„Moje kwiateczki, cóżeście takie smutne, czy przeczuwacie burzę, żeście tak główki pospuszczały? A to co nowego? Pokrzywa tutaj? A ty nie dobrego! Kto cię tu

wpuścił? Wynoś mi się stąd, czy słyszysz? Znam ja cię, coś ty za jedna; my tu nie potrzebujemy złośników i samolubów. Moje kwiatki żyją w zgodzie, kochają się, nie dokuczają sobie nigdy, mogłyby się jeszcze czego złego nauczyć od ciebie. No, marsz!



Chwycił ją ręką za łodygę, bo nie chciała go usłuchać dobrowolnie.

— A ty paskudo! jeszcze mnie parzysz? myślisz, że się ciebie zleknę, że mnie zabijesz tak jak tę biedną pszczołkę? Masz za swoje!

Szarpnął pokrzywę raz i drugi, i wyrwał ją z korzeniem.

— Ach! I co się z nią stało?

— Co? Nic. Rzucił ją pod płot i tam umarła.

— Biedna pokrzywa—rzekła Różyczka smutnie.— Pewno nie miała mamy, nikt ją nie nauczył, że gdy się co złego zrobi, to najlepiej przeprosić, ukochać rączkami, obiecać—już nigdy i nigdy więcej tego nie zrobić! I kwiatki byłyby jej darowały i motylek by ją polubił i pszczołki by zapomniały, że jedną z nich pokąsała, gdyby już potem była zawsze dobra. Prawda Zosiu?

— Prawda—odpowiedziała Zosia, biorąc Lorcię na rękę. Czasem człowiek bywa niegrzeczny, ale jak chce szczerze, to się zawsze poprawi. Czasem ze złości rzuci się lalką o ziemię, a jak mamę serdecznie przeprosi, to tak jest, jakby nic złego nie zrobił. Szkoda, że pokrzywa była taka uparta. Ale słuchaj, bo to jeszcze nie koniec. Po tych zdarzeniach, com ci opowiedziała, nastąpiło takie prawo, że w porządnym ogrodzie, broń Boże, nie wolno mieszkać pokrzywom. One też boją się ogrodników i kryją się po kątach, pod płotami, jak mogą. Wiesz, w naszym ogródku rośnie także jedna za agrestem, chodźmy do niej.

— Poco? żeby nas poparzyła?

— Nie będziemy jej dotykać; chciałybyśmy tylko parę słów jej powiedzieć.

— No to chodźmy; ale deszcz pada.

— Zarzucimy spódniczki na głowę i biegnijmy prędziutko.

Małe przyjaciółki poskoczyły co żywo, Zosia naprzód, Rózia za nią i stanęły przy krzaku agrestu. Zosia zajrzała ostrożnie, rozchylając gałązki.

— Jest! Widzisz, jak się chowa, boi się nas. Powiem jej tu wierszyk, który mi mama mówiła na zakończenie bajeczki.

Wiemy dobrze, wiemy, ty niegrzeczne ziółko,

Jak źle postąpiłaś z biedną małą pszczołką.

Dziś nikt cię nie kocha, smutno ci pokrzywo?

Przyjmij dobrą radę, popraw się co żywo.

— Ach, może się poprawi!—westchnęła Rózia.



VII.

Pojedziemy na spacer.

MALGOSIA spisała się gracko, odniosła dzieciom wózek naprawiony; nietylko, że oderwane kółko na nowo założyła, ale i tamte trzy przymocowała doskonale małemi gwoździkami, żeby już ani myślały odlecieć.

— Możecie se teraz jechać choćby do Hameryki — rzekła, stawiając wózek na podłodze.

— Różyczko, chcesz spróbować jeszcze raz troszkę po pokoju? — spytała Zosia.

— Kiedy się boję.

— Albo nie; zrobimy coś przewybornego; zobaczysz, co to będzie za zabawa!

— Gadaj prędko, co?

— Pojedziemy z wizytką do Hanusi, dobrze? Lalki muszą zostać w domu, bo choć Milcia i Bińcia są ubrane, ale tamte płakałyby bardzo, gdybyśmy wzięły dwie z sobą, a resztę zostawiły. Muszą się tymczasem same pobawić.

— No to pocóż wózeczek?

— A widzisz, ty nic jeszcze nie umiesz wymyślić; Różia jeszcze maleńka, zato Zosia mądrzejsza. Wiesz, kto pojedzie? Pikuś. Bardzo był grzeczny, słuchał uważnie bajeczki, raz tylko zawył jakieśmy śpiewały, no bo może chciał i on spróbować, a że nie umie śpiewać, to nie jego wina. Prawda Pikusiu, że masz wielką ochotę przejechać się do cioci Hani? Widzisz, jak ogonkiem kręci? To znaczy: „proszę, proszę!” Nie bój się Pikusiu, ciocia Różia i ciocia Zosia nie ci złego nie zrobią; pojedziesz sobie jak jaki pan w wózeczk, tylko trzeba siedzieć spokojnie, panowie nie wyskakują z powozu, boby sobie nogi połamali. Gdybyśmy spotkały jakiego dużego, strasznego psa, to się przed nim sukienkami zasłonimy, żeby nas nie pokąsał, to jest... chciałam powiedzieć właściwie, jeżeli nie będzie na nas czekał.

Bo wtedy musielibyśmy wszyscy troje uciekać. Róziu... spotkałaś ty się kiedy z dużym psem?

— Och!—zawołała Rózia, zaprzeczając główką i rączkami—nigdy!

— Choćbyśmy się spotkały z ogromnem psiskiem piekarza, to nam nic nie zrobi. To dobry pies. Czasem to psy bywają bardzo złe... słyszałam, że się nawet rzucają na ludzi.

— Ale na dzieci to może nie?

— E... co tam; czego się bać, może nie będzie czekać, pojedziemy i koniec. Wiesz, jak zrobimy? Żeby podróż była dłuższa, to przejedziemy się raz naokoło ogrodu, potem przez furtkę na ulicę, potem do bramy, przez sień i na podwórze do Hanusi.

— Doskonale!

— Ale, Pikusieńku, umyjemy ci pyszek, uczeszymy główkę; jakżebyś taki nieporządny, zakurzony, jechał do cioci Hani! Dajno Róziu tę białą szmateczkę, co wisi na oknie, umocz ją w wodzie, musimy pana Pika wyszorować. No, Pikuś, nie wyrywaj się! Czy to tak grzeczne pieski robią? Fe, wstydź się, stój mi zaraz spokojnie; nie masz czego piszczeć, od zimnej wody jeszcze nikt nie zachorował. No,

już, już—widzisz, jaki masz nosek czysty! teraz tylko uczesać. Podaj Róziu lusterko. Przypatrz-że się smarkaczu... taki rozczochrany jak stara miotła, jakże się pokażesz na ulicy? Jeszczeby cię policyjant zamknął do kozy—doprawdy!



— Ja go potrzymam, a ty czesz prędziutko.

— Szkaradny Pikuś, nigdy się tego po tobie nie spodziewała; przecie szczotka nie twarda, niema czego skowyczeć. Uff... dzięki Bogu, już jako tako wygląda. Po-

każno, Róziu, kapelusik Lorci, może się przyda na jego główkę. Oo... szkoda, zamały! Trudna rada, musisz jechać z gołą głową; to za karę, żeś mrucał przy myciu.

— Włożę sienniczek do wózka, żeby mu było miętko.

— Dobrze. No chodź piesku, czas już w drogę.

Dziewczynki wsadziły Pikusia do wózka, ułożyły go jak małe dziecko, okryły kołderką i wio!... Widać, że mu było wcale dobrze, bo się nie bronił, pozwolił na wszystko. Ale gdy się koniki rozbrykały, a wózek toczył się pędem po ścieżkach ogródka, biedny Pikuś podnosił głowę niespokojnie i oglądał się na wszystkie strony, jakby szukając ratunku.

— Przyjemnie ci jechać, prawda?—pytały go dziewczynki co chwila.

Nie odpowiadał, bo nie umiał mówić, ale coraz go większy strach ogarniał.

— Teraz już dosyć ogrodu, wyjedziemy troszkę na ulicę.

Zosia otworzyła furtkę, pan Pikuś wystawił całą łapkę z wózeczka.

— A to co? Będiesz mi zaraz spo-

kojnie siedział, bębnie jeden? Chcesz wylecieć i zabić się?

Pikuś zawstydzony schował się z głową pod kołderkę. Przejeżdżano właśnie koło sklepu rzeźnika i widocznie woń surowego mięsa podrażniła jego powonienie, bo Pikuś wystawił nosek i jedno oko z pod kołdry. Ach, co za śliczny widok! Kawałek kostki leżał na samym progu, tylko chapnąć i zjeść ze smakiem; główka cielęca zaczepona na haku zwisała tak niziutko, że jak nie można ją było oblizać. Zosia i Różia zagadane, nie oglądały się po za siebie. Pikuś znał ten widok, bo czasami przychodził tu z Małgosią. Lecz jeszcze się wahał co zrobić. Spogląda na Zosię i widzi, że ta rozmawia z Rózią. Piesek korzysta natychmiast z nieuwagi dzieci i jednym susem wyskakuje na ulicę. Tymczasem dziewczynki biegną dalej, nie czując, że wózek jakoś lżejszy. Śmieją się, że tak prędko biegną z pieskiem i wpadają do bramy, przelatują sień i podwórze, i stają przed drzwiami Hanusi.

— Widzisz pieseczku, to tutaj mieszka ciocia Hania, niech pan wysiada! A to co? Gdzie nasz pasażer, co się z nim stało?

Zosia i Różia załamały rączki.

— Pikuś, Pikuś!—wołała Zosia.

— Pikuś, Pikuś!—powtarzała za nią Różia.
Ani śladu Pikusia.

— Widocznie wyskoczył z wózka i pobiegł do miasta. Żeby tylko nie zabłądził! a może go jeszcze ciężki wóz przejechać; Pikuś zawsze taki zuchwały, wyskakuje do koni, szczeka, podbiega pod same koła! Żeby go tylko nie porwał ten człowiek, co to psy łapie. Słyszałaś pewno, że i pieskiem nie wolno samym chodzić po ulicy, zaraz je ten człowiek chwyta do budy. Ach... zanim tatuś pośle po niego, nim się odnajdzie, pewno go zabiją z dziesięć razy!

Choć Zosia wcale nie była beksą, na myśl o niedoli Pikusia, łzy nabiegły jej do oczu...

— Ach, Pik! Jakiś ty niepoczcwiwy! czemuś ty z wózka wyskoczył?

Na widok rozżalonej przyjaciółki, ściśnęło się serduszko Rózi. Wspięła się na palcach i zaczęła głąskać towarzyszkę obu rączkami po twarzy.

— Zosiu, Zosiuniu! Nie płacz! Biegnijmy do twojego taty, on nam zaraz pomoże. Jeżeli Pikuś złamał nóżkę, to mu ją

tata naprawi, przecie jest doktorem, to pewno wszystko umie. Jeżeli zabłądził, to zaraz poślą po niego i znajdą z pewnością. Lećmy do tatusia!

Słowa Rózi uspokoiły Zosię, — otarła oczy.

— Ach Różyczko, żeby on się znalazł! Już ani królewicz u swojej mamy nie byłby szczęśliwszy od niego. Nie męczyłabym go nigdy; bo wiesz, on jest taki poczciwy, że choć nieraz go ubieram w lalczyne sukienki, on nic. A przecież mu nie jest przyjemnie siedzieć na krzeselku w ciasnym kaftaniczku i spódniczce Lorci. O, już mu tego nigdy nie zrobię. I kawałek mojej pieczeni oddam mu dzisiaj przy obiedzie, żeby tylko wrócił.

— A twoja mama nie gniewa się, gdy nie jesz mięsa?

— Gniewa się; ale możeby ten jeden raz pozwoliła.

— A ja mu schowam mój kompokik i jutro przyniosę w garnuszku.

— E... ja wiem, że on się znajdzie; czasami jak wyjdzie, to go długo niema, a potem sam wraca; zawołajmy jeszcze kilka razy, może jest gdzie blisko, to usłyszy.

— Pikuś! Pikuś! psinka! chodź tu zaraz!—wołały dziewczynki, wychylając główki z bramy na ulicę.

— Ee... niema co darmo krzyczeć, on już pewno daleko; wróćmy na podwórze po wózek, a potem pójdziemy do tatusia.

Dziewczynki poszły ku drzwiom Hanusi, gdzie zostawiły wózek.

Wtem patrzą, a pies leży w wózku, kręci ogonkiem i spogląda na nie.

— Zosiu! Zosiu! patrzajno... widzisz?.. jest, jest nasza zguba! sam przyszedł.

— Pikuś! Pikulinek najmilszy, niegrzeczny! A ty się skąd tutaj wzięłeś, brzydaku? Wiesz Różyczko, pewno wrócił przez ogród, gdy my szukałyśmy go przed bramą. O, niedobry piesek, a ja się o ciebie tak martwiłam!

Zapewne Pikuś zrozumiał okrzyki swoich panienek, bo wyskoczył z wózka i witał się to z jedną to z drugą, stając na dwóch łapkach; może im chciał opowiedzieć o swoich odwiedzinach u rzeźnika i o wybornym smaku wątróbki baraniej. Oblizywał się raz po raz; ale dziewczynki nie rozumiały co to znaczy i nie domyśli-

ły się, co za silna pokusa była przyczyną ucieczki pieska.

— Przypatrz mu się, Róziu, łapki ma zdrowe, uszka całe, nossek zimny, ogonkiem rusza, nic mu się złego nie stało, dzięki Bogu, jest zdrow i wesół.


— No, ale na drugi raz, to już z lalką pojedziemy na spacer; ani z Lorcią, ani z Bińcią nie miałybyśmy takiego zmartwienia.

— A teraz, Pik, marsz do pokoju, dziś już nie pójdziesz do cioci Hani, byłeś niegrzeczny i za karę zostaniesz w domu!



VIII.

Proszę pani o sto funtów mięsa.

—  j dzieci, dzieci! Wybiegacie z pokoju bez pozwolenia, a tu służąca już dawno przyszła po Rózię i czeka.

Tak się gniewała Małgosia, widząc dziewczynki powracające.

— Ale chodziłyśmy nie bez pozwolenia, bo do ogródka zawsze nam wolno.

— Szukałam was w ogródku, i nie znalazłam, gdzieżeście były?

— Na podwórzu i przed bramą na ulicy.

— Aa... bardzo pięknie! Grzeczne pаниenki, niema co mówić, zaraz mamie powiem. Słyszał kto coś podobnego, same wychodzą na ulicę!

— Nie same, nie same, bo z Pikusiem.

— A to mi dopiero śliczna opieka, guwernantka na czterech nogach! Ciekawam, czy mama tem się ucieszy?

— Moja złota Małgosiu, nie gniewaj się, to pierwszy i ostatni raz w życiu, już tego nigdy więcej nie zrobimy.

— Niiigdy!—powtórzyła, składając rączki, Rózia.

— No, to niechże Rózia idzie teraz do domu, mama tam już dawno czeka z obiadem.

— Ale wracaj czempredzej, jak tylko zjesz; powiedz mamie, żeśmy jeszcze nie skończyły zabawy, że jeszcze bardzo dużo ślicznych rzeczy sobie powymyślamy.

— Wróć, wróć za malusieńką chwileczkę. Ty pewno także teraz będziesz miała swój obiadek. I Pikuś głodny. No idę już, do widzenia!

— Mamusiu!—wołała Rózia, wpadając do pokoju — mama pozwoli mi znowu do Zosi, prawda? Zosia kazała mamę bardzo prosić... bo to jeszcze nie koniec, jeszcze będą różne zabawy; dobrze mamusiu? A jak mama zechce, to się kiedy z mamą pobawię w to wszystko, co z Zosią. I w pranie,

i w pokoik, i w Janową, i opowiem mamie bajeczkę o trującym stoliczku, i o trzech braciach wiatrach, i o niedobrej pokrzywie, i wie mama co? Ja będę mamina przyjaciółką, tak jak Zosia jest moją, dobrze? To tak miło, zobaczy mama! Tylko dzisiaj nie mam wcale czasu, muszę zjeść prędko i zaraz lecieć do Zosi. Chce mnie mamusia za przyjaciółkę?

— Ale bardzo chcę, ty mała gaduło. Rozbieraj się i siadaj do stołu.

Okno wychodzące na ogród było otwarte; ledwie Różia obiad skończyła, pobiegła wyrzeć, co się dzieje naprzeciwno.

— Różyczko, zjadłaś już?—dał się słyszeć głos Zosi z tamtej strony płotu.

— Zjadłam, a ty?

— A jakże. A przyjdiesz zaraz? Proś baaardzo swojej mamy.

— Słyszysz mamusia? Prawda, że można? Już idę, idę! Przebiegnę przez ogródek, dobrze mamó?

— Idź już, idź!

— Wiesz, — rzekła Zosia z powagą, rozchylając gałęzie żywopłotu, żeby przepuścić Rózię do swego ogródka; z nas bardzo niedobre mamy; sameśmy się najadły,

a nasze dzieci co? Ani obiadu, ani nawet śniadania nie dostały; gotowe wszystkie poumierać z głodu.

— Okropność! Poprosimy twojej mamy, może tam co zostało z obiadu.

— Co? Zebrany chlebem miałabym żywić moje córki? Ani myślę. Własną ręką obiad im ugotujemy.

— Co ty mówisz!

— Aha! ale pierwej pójdziemy do miasta, nakupić wszystkiego co potrzeba.

— Jakże do miasta? Przecie dopiero dałyśmy słowo, że same nie zrobimy kroku na ulicę, a Małgosia pewno nie ma czasu.

— Aj, Róziu, jakaś ty niemądra! To tak „nibyto” tutaj w pokoju, będzie miasto; jedna z nas będzie miała sklep, a druga przyjdzie z koszykiem po sprawunki.

— Ach, wybornie!

— Ale pierwej musimy sobie wszystko ładnie przyrzadzić; chodźmy do mamy i do Małgosi.

— Moja mamusiu!... chcemy bawić się w sklep, bo mamy dużo do zakupienia, niech mamusia da nam rozmaitych towarów do sklepu, bardzo prosimy.

— Ho ho! To może i ja kupię coś w tym sklepie?

— Dobrze, mamusiu, my mamie niedrogo sprzedamy.

Dziewczynki dostały tabliczkę czekolady, garść rodzenków, kilka migdałów, duże jabłko i cztery kawałki cukru. Potem z kuchni przyniosły sobie od Małgosi surową marchew, trochę groszku, parę listków sałaty i czerwony burak gotowany.

— Zobaczysz, jaki to będzie pyszny sklep! — rzekła Zosia, wracając z wiktuałami do dziecinnego pokoju. — Właściwie muszą być dwa sklepy: postawimy dwa stołki, przykryjemy je serwetami, na nich ułożymy nasze towary i ustawimy wagę; czekaj przyniosę moją wagę.

Zosia poskoczyła na jednej nodze i wnet przyniosła małą wagę.

— Patrz jaka pyszna! W jednym sklepie będzie mięso, masło, jarzyny, a w drugim te dobre rzeczy od mamy, co się naprawdę dadzą zjeść.

— A skądże? Kiedy ani mięsa, ani masła nie mamy!

— Jakto nie mamy? Czerwony burak to nie mięso? Lalkom takie mięso aż nad-

to wystarczy; przecież one tylko „nibyto” jedzą; jabłuszko pokraje się na plasterki, to będzie masło, albo ser, co potrzeba, a groszek, sałata i marchew, to przecież doskonałe jarzyny.

— A te kawałeczki białego sznurka, coś je zabrała od mamy, to na co?

— Oj ty niemądra, to przecież makaron włoski.

— Ach, prawda!

— Hoho, grzeczniutko się dzieci bawią, aż miło patrzeć—rzekła Małgosia, zaglądając przez otwarte drzwi do pokoju. Macie tu jeszcze kawałek piernika, a chleb macie do obiadu?

— Dziękujemy, dziękujemy! Właśnie nam chleba brakowało. To będzie chleb!

— No, teraz ułożmy wszystko ładnie na krzeselkach; ja będę stała w sklepie, bo ja jestem kupcowa, a ty przyjdiesz kupować. Małgosiu, proszę mi dać ten stary kapelusz babci, co to jest w szafie na górze; przecie pani Różia z gołą głową nie może iść do miasta. I ten płaszczyk z szerokimi rękawami. No widzisz, wyglądasz teraz jak prawdziwa pani. Może weźmiesz z sobą którą córeczkę?

— A dobrze; tylko nie wiem, jak się zabiore, bo to i koszyk i parasolka, ee... parasolkę rzucę na ziemię, kapelusz duży, to się nie opalę.



— Dzień dobry pani! Czem mogę służyć?—zawołała kupcowa z uprzejmym ukłonem, do przechodzącej cioci Rózi.

— Chciałabym kupić co na obiad; dzieci mam głodne w domu. Proszę o funt cukru za centa.

— Sam cukier nie wystarczy; wielmożna pani pewno potrzebuje coś jeszcze więcej?—zauważyła kupcowa,

Biedna Różia nigdy jeszcze nie była na targu, nigdy dzieciom nie gotowała obiadu. Zaczerwieniła się ze wstydu i szepnęła:

— Zosieńko, podpowiedz mi, co się gotuje na obiad, bo ja nic nie wiem.

— Może być naprzykład czekolada na zupę, ciastka francuskie, krem waniliowy, albo z jabłek różne rzeczy.

— Ach prawda! Tyle razy to jadłam i zapomniałam. Proszę pani — rzekła odmiennym głosem, zwracając się do kupcowej — proszę pani o surowe ciastka francuzkie i niegotowany krem, bo ja sobie sama umiem wszystko ugotować.

— Ależ nie, nie tak!—zaśmiała się Zosia. — Wielmożna pani pewno niedawno za mąż poszła, jeszcze bardzo młodziutka; ale to nic nie szkodzi, zaraz odważę cukru.

Zosia położyła na szalce suchy przestłoroczny kasztan, na drugiej kawałeczek cukru, odważyła sumiennie, owinęła porządnie w papier i podała Rózi.

— Dziękuję bardzo, oto są pieniądze. O ja już bardzo dawno poszłam za mąż;

już cztery, czy siedemnaście lat, nie pamiętam.

— O, to kawał czasu! Cóż jeszcze pani potrzeba? Ja swoim dzieciom codziennie gotuję rosół i pieczeń; muszą jeść mięso, bo jeszczeby nie urosły. Wielmożna pani taka maleńka, pewno nie lubiła mięsa, gdy była młodsza?

— Bo mięso szkaradne, jest tyle innych dobrych rzeczy...

— Święta prawda; ale dzieci trzeba przyzwyczajać. Może pani każe odważyć ładnej cieleciny? Albo polędwicy? Albo może pani kupi zajączka?

— Proszę mi dać sto funtów mięsa.

— Czy nie będzie trochę za dużo?

— O nie! mam sześć, czy dziesięć córeczek i pieska Pikusia; dużo osób jest w domu, może i sto funtów nie wystarczy.

— A uniesie też pani taki kawał?

— E...³ to drobnostka, trzy razy tyle dźwignę i to jedną ręką.

— A, to pani okropnie silna, ho, ho! Proszę pozwolić koszyk, to ułożę delikatnie towary, żeby się nie pogniotły. Jarzynki trochę można? Należy mi się dziesięć reńskich.

Różia wyjęła z kieszeni torebkę papierową z fasolką i zaczęła liczyć z powagą:

— Jeden, dwa, trzy, siedm, piętnaście, czterdzieści, dziesięć.

— Wielmożna pani trochę się pomyliła, ale to nic nie szkodzi; do dziesięciu najłatwiej porachować na palcach; to się tak robi: jeden paluszek, dwa, trzy, cztery, pięć, to już jedna rączka. A na drugiej znowu: sześć, siedm, ośm, dziewięć, dziesięć. Jeżeli się pani boi omylić, to proszę zawsze rachować na palcach.

— Ach prawda! Już się nauczyłam — zawołała Różia. — To nawet moja lalka... chciałam powiedzieć moja córka już potrafi. Do widzenia pani kupcowo!

— Całuję rączki pani. Ale, ale... proszę się wrócić na momencik!

Zosia wyjęła z papierka tabliczkę czekolady, odgryzła delikatnie ząbkami kawałeczek i podała Rózi.

— To na dokładkę, dla córeczki, parę cukierków.

Ale Bińcia widać nie była zdrowa, bo zacisnęła buzię i nie chciała spróbować czekolady; Różia więc sama zjadła połowę, a resztę oddała Zosi.

— Jakie to smaczne! — powiedziała — wyborne! córeczka moja dziękuje.

— Ale wiesz, gdyby to tak w prawdziwym sklepie, to niech Bóg broni odgryzać zębami czekoladę. Upadam do nóg pani; polecam się łasce pani, niech pani zawsze u mnie kupuje.

— Może co zapomniałam, to jeszcze przyjdę do pani.

— To już wszystko zakupione do obiadu, a teraz możemy się wziąć do przyrządzenia go.

— Ale! Czy ty myślisz, że obiad to się tak w mgnieniu oka ugotuje? Nam trudniej tak prędko gotować, niż starszym, a Małgosia to przecież cały ranek się kręci, zanim sobie da radę z obiadem. Wprzód trzeba pochować niepotrzebne rzeczy: odnieś kapelusz i płaszczyk do Małgosi, ja posprzątam sklepy. Jak wrócisz, weźmiemy się do roboty.

Zosia zamiotła ładnie podłogę, Różia pobierała okruszynki i strzępki papieru, wyniosła do kuchni, a wagę schowała do szafki z zabawkami.

— Teraz już możemy zacząć gotować. Ale pierwszej się pocałujemy; daj buzi Ró-

życzko; prawda, że się doskonale bawimy?

— Pysznie!

— Bawiłaś się kiedy w gotowanie?

— Bawiłam, ale nie tak jak dzisiaj, i nie wiem, czy to większa przyjemność niż domek i kupowanie?

— Gdybyś dawniej miała przyjaciółkę, tobyś się nawet nie pytała o takie rzeczy.

— Zosiu, a czy ty i jutro będziesz moją przyjaciółką?

— I jutro, i pojutrze, i jeszcze dłużej.

— Dużo dni?

— Bardzo dużo, może więcej niż sto.

— Czy my już wtedy będziemy miały tyle lat co nasze mamy?

— Och, pewno!



IX.

Patrzno jak się gotuje!

Dziwne rzeczy dzieją się czasem na świecie! W tym samym pokoju był zrana domek Janowej i Hanusi; trochę później plac targowy ze sklepami, a teraz... ani pięciu minut nie trwało, już jest i kuchnia i to jakby prawdziwa!

Czy to czary? Nie, to tylko Zosia i Różia umieją bawić się tak ładnie, tak sobie wszystko dobrze urządzają.

— Drewniany stółek Małgosi to będzie nasz stół kuchenny; kuchenkę postawimy na podłodze. Powyjmuj, Róziu, łądło i garnuszki z szafy, a zobacz tylko, czy czyste.

— Ach, świecą się z wierzchu jak złote, a w środku bielusieńkie.

— O, masz tu łyżki, trzepaczkę do bicia piany, durszlaczek, moździerz, tarelko; możesz sobie obejrzeć, brać do rączki, to moje i twoje.

— A mogę cukier tłuc w moździerzu?

— A jakże; przyda się, utłucz, tylko mialutko; ale mocno bij tłuczkiem! A gdyby która lalka płakała, chciała się z tobą bawić, to jej powiedz tak: nie, aniołku, mama teraz bardzo zajęta, nie ma czasu, pobaw się sama. Moja mamusia codzień tak mówi, gdy jej przeszkadzam. Wiesz, najpierw ugotujemy zupkę... ach mój Boże!

Zosia stanęła na środku pokoju z minką zafrasowaną.

— Co się stało? Kuchenka się zepsuła, czy co? A może cię co boli? Tak zupełnie wyglądasz, jakby cię gardło bolało.

— Ee... nic mnie nie boli... tylko mi tak strasznie żal, że nie będziemy miały prawdziwego ognia. Ach, Różyczko, żebyś ty wiedziała, jak się to ślicznie gotuje! Woda robi blum, blum, blum, aż czasem pokrywka podskakuje. Pewno już nieraz widziałas w domu jak się smaży i gotuje.

— No, tak, ale to na prawdziwej kuchni.

— To wyobraź sobie, że i tutaj może być zupełnie tak samo, tylko trzeba podstawić pod blachę taką małą lampeczkę ze spirytusem. Gdy się już ma obiad gotowy, sadza się lalki naokoło stołu, nalewa im się



zupkę i mówi się: „ostrożnie koteczki, dmuchajcie dobrze, żebyście sobie języczków nie poparzyły.

— Ach! szkoda, szkoda, że mama dziś zajęta; takby się cudnie gotowało! Samym nie wolno nam ani myśleć o spirytusie i o ogniu.

— To niech ci się zdaje, że to już ugotowane.

— E... jak to wszystko stoi zimne na blasze, ani para nie idzie, to dziękuję za łaskę.

— Tak się martwisz, jakby doprawdy warto było.

— Bo jeszcze nie wiesz jaka to przyjemność stać sobie przy kuchence, a tu w jednym garnku bulgocze, w drugim sapie, z trzeciego para idzie, na brytfannie mięso się smaży, aż pachnie... ach to dopiero radość!

— Gdy do ciebie znowu kiedy przyjdę, a twoja mama nie będzie zajęta, to mi pokażesz prawdziwe gotowanie, dobrze?

— Dobrze, ale już wiem co zrobię! będziemy miały gorąciuteńką zupę, jak tatusia kocham!

— Czy podłożysz pod blachę pełne pudełko zapalek?

— O, broń Boże! Ani iskierki nie zapalę. Jak nie wolno, to nie wolno. Coś ci powiem, słuchaj: dostałam tę kuchenkę na Boże Narodzenie od aniołka, wiesz? Przyniósł mi śliczne drzewko z dobrymi rzeczami, ze świeczkami, moją laleczkę Jadzię i tę kuchenkę. Ucieszyłam się bardzo, a gdy

jeszcze mama poustawiała różne jedzenia w garnuszkach na blasze i podpaliła spirytus, to już nie wiedziałam co robić z radości.

Ale tatuś powiedział tak:

— Musisz mi coś obiecać, Zosiuniu.

— A co takiego, tatusiu?

— Że nigdy a nigdy nie spróbujesz tej lampki zapalać. Jeżeli nie zechcesz przyrzec, kuchenka pozostanie zamknięta w kredensie na górze, i tylko przy mamie będziesz się nią bawić. Ale jeżeli mi dasz słowo, że nigdy sama ognia nie rozpalisz, to ją weźmiesz do swojej szafki i możesz się bawić kiedy tylko zechcesz.

Naturalnie dałam tatusiowi najświętsze słowo i może być spokojny, że go nie złamię. Tatuś powiedział, że słowu uczciwego człowieka zawsze się ufa, a kto raz skłamał, temu nigdy nie wierzą. Więc nie ma rady, prawda? Trzeba słuchać i być uczciwym człowiekiem, któremu wszyscy wierzą. Proszę cię, Różyczko, utrzyj czekoladę, wsyp ją do tego garnuszka, ja zaraz przyjdę, tylko po coś pobiegnę. Stań sobie na stołeczku, będzie ci wygodniej.

Różia zajęta swoją robotą, nie zauwa-

żyła, że Zosia wchodzi ostrożnie do pokoju i trzyma blaszany kociołek oburącz przez chusteczkę. Postawiła go na blasze, przykryła pokrywką i dalej dmuchać na niewidzialny ogień: „a fu, fu, fu, a fu, fu, fu!

Zgadłyście zapewne kochane czytelniczki, że to w kuchni u Małgosi znalazła się gorąca woda na zupkę czekoladową.

— Oj, oj Róziu! Patrzajno, jak się już gotuje!

Rózia zeskoczyła co tchu ze swojej ławeczki i ze zdumieniem patrzyła na parę buchającą z garnka.

— Dajże prędiutko czekoladę, rozpuścimy ją w gorącej wodzie, wymieszamy dobrze i zupka gotowa. A teraz, marmeladkę z jabłek. Trzeba usiekać drobniutko, pocukrować, wymieszać i ułożyć w salaterce. A musimy dużo wszystkiego ugotować. Gdyby przyszedł jaki ubogi podróżny i skarżył się, że mu się jeść chce, cóżbyśmy mu dały? Mama zawsze chowa dla biednych resztki z obiadu.

— A biedni wiedzą o tem?

— A jakże. Codzień przychodzi kulawy staruszek, to znów jedna kobieta z małeńkiem dzieckiem, to dziewczynka z gar-

nuszkciem po rosół dla chorej mamy, to głuchoniemy chłopczyk.

— I wszyscy dostają?

— Kto pierwszy przyjdzie, ten swoją porcyę zabiera, a kto się spóźni, temu Mał-



gosia daje kawałek chleba. Oni się już nawet tak nauczyli, że nie przychodzą wszyscy naraz, tylko codziennie kto inny po kolei. Oj, Róziu, Róziu... cóżeśmy najlepszego zrobiły! Jakże teraz będzie?

— Z czem?

— A z pieczenią. Gadu, gadu, rozpowiadamy sobie to i owo, i tak w roztartnieniu zjadłyśmy całego buraka, a to było nasze sto funtów mięsa. Sklepy już dawno pozamykane, a pieczeń gdzie?

— Możeby skoczyć do rzeźnika?

— Ee... rzeźnik już poszedł do domu na obiad. Lepiej poprośmy strzelca, ot tego na obrazku na ścianie: Hop, hop! Czy pan słyszy, panie myśliwy? Proszę nam upolować tłustego zajączka!

— Takie tam żarty, a pieczeni niema!

— Czekaj, połóżmy kawałeczek piernika na brytfannie; prawda, że zupełnie tak wygląda, jak połędwica porządnie przyrumieniona. Ale, ale, kiedy mowa o zajęczach, możeby ci opowiedzieć bajeczkę? Mam książkę z obrazkami, z niej mama czyta mi bardzo ładne powiastki; zanim się mięso dopiecze, to ci choć jedną opowiem.

Zosia zdjęła książkę z półki, przewróciła kilka kartek, a znalazłszy czego szukała, pokazała Rózi.

— Widzisz, tu jest namalowany las; a kto tam siedzi pod krzakiem?

— Zajączki.

— Ano, bardzo dobrze, żeś je poznała. Słuchajże teraz bajeczki. W lesie pod krzaczkiem była jamka, a w tej jamce mieszkał sobie tata zając, mama zającowa i czworo dzieci. Mieli maleńki domek, bo tatuś nie potrzebował kancelaryi dla siebie, mama także nie miała buduaru, ani gardero-



by, bo nie przebierała się nigdy. Wszyscy mieli po jednej sukience, i ta im musiała wystarczyć na całe życie. Tak, tak Różyczko, suknie zajączków są bardzo mocne i nigdy nie wychodzą z mody. Jednego dnia, słońce świeciło ciepłutkie i mama zającowa usiadła z dziećmi przed drzwiami

swego domku. Najmłodszą córeczkę wzięła na kolana, starsze dzieci tuliły się jak mogły do swojej mamusi. Pan zając wyjechał w podróż do kapuścianego kraju po różne zapasy, ale spodziewano go się przed wieczorem z powrotem.

Gdy zajączki zaczęły piszczeć, że im się chce jeść, wtedy mama wydostała ze schowania główkę sałaty, i urwała każdemu po listeczku, a sobie wzięła środek, i tak się wszyscy pożywili. Po śniadaniu zajączki zaczęły skakać koło mamy, gonić się między krzakami, śmiać się, dokazywać, rozbrykały się okropnie.

— Cicho, dzieci, cicho, nie róbcie takiego hałasu; jeszcze usłyszysz was myśliwy i zastrzeli wszystkich razem.

— A wolno mu to? — spytał zalekniorny Fircuś i schował się za mamę.

— Niestety, wolno! — westchnęła mama.—Psujemy ludziom koniczynę, zjadamy kapustę, robimy różne szkody; ludzie się też mszczą za to i zabijają nas gdzie tylko dopadną.

— A cóż to — burknął zuchwale drugi zajączek, imieniem Skoczek,—mogliby nam

koniczyny nie żałować, przecie jej sami nie jedzą. Skąpcy szkaradni!

— Nie jedzą sami, to prawda, ale ją sieją dla krów, a krowy dają im zato białe słodkie mleczko. Krowy płacą ludziom za koniczynę mlekiem.

— Niechby się z nami umówili, tobyśmy im także co płacili.

— My? A cóżbyś ty im dał, biedaku? Chyba własną skórę i mięso, bo nie masz nic innego. To też, skoro my nie pytamy o pozwolenie i żywimy się na ich polach, ludzie także bez ceremonji strzelają nas co roku tysiącami. Biedneśmy stworzenia i tyle!

Zajączki zaczęły gorzko płakać.

— Słuchajcie mnie tylko zawsze i róbcie to, co wam każę, a wszystko będzie dobrze. Wprawiajcie się codzień w szybkie bieganie i gońcie się na wyścigi; cały nasz ratunek i obrona—to zdrowe i mocne nogi. Uczcie się także odróżniać najłżejsze szelesty w lesie i na polu. Gdy tylko usłyszycie jaki szmer podejrzany, nie wyglądajcie z pod krzaków ciekawie, tylko, jeżeliście blisko domu, zmykajcie do nory, a nie, to siedźcie w gęstwinie jak nieżywe, ani mru-mru. Człowiek nie ma takich bystrych

zmysłów jak my: przejdzie nieraz tuż koło zająca i ani go zauważy. Największe nie-szczęście, jeżeli idzie z psem.

— Dlaczego?

— Bo pies nas zaraz poczuje, wyszuka i da znać swemu panu.



— Ach, iluż nieprzyjaciół godzi na nasze życie!

— Sami widzicie zatem, że próżniactwo bardzo wam na złe wyjść może; ucicie się biegać, nastawiajcie uszy, a co najważniejsza, poskramiajcie wrodzone łakomstwo. Im mniej się kręcimy między kapu-

stą, sałatą, kalafjorami, tem spokojniejsze nasze życie.

— Dobrze mamie mówić, przecież trudno ginąć z głodu!

— Niema obawy, las duży, jagódek, ziółek macie poddostatkiem. Ot patrzcie, tu zaraz rośnie kwaśne ziółeczko, z listkami podobnemi do koniczyny; cały świat nazywa je zajęczą kapustą. Widać więc, że mamy prawo żywić się tą roślinką. Niech wam się tylko nie zachciewa przysmaczków z warzywnego ogrodu przy dworze. Ach, gdyby Maciuś nieboszczyk słuchał przestróg moich!

— Cóż to za Maciuś?

— Najstarszy wasz braciszek, biedny straszną śmiercią zginął przeszłego roku.

— Co mu się stało? — spytał Skoczek.

— A cóż... zwykła to historia, ale smutna; uczyłam go tak samo jak i was, jak się ma zachowywać, żeby uniknąć niebezpieczeństwa, ale krnąbrny malec co rano przed wschodem słońca wykradał się z domu i biegł w stronę dworskiego sadu. Co prawda, byłam tam i ja kilka razy i póki życia nie zapomnę tych frykasów, jakie tam jadłam. Ale ja co innego, skubnęłam

listeczek tu i owdzie, skosztowałam agrestu, porzeczek, truskawek, i nim się dzień zrobił, leciałam bez tchu z powrotem do domu. Maciuś zaś, jak się rozjadł, tak nie umiał przestać; wysiadywał między grządkami nieraz do południa. Jak też jednego dnia zasiedział się w szparagowej fasoli, nie sposób mi było wyprowadzić go stamtąd, wróciłam sama. Nagle usłyszałam wystrzał, serce mi się ścisnęło strasznym przecuciem... biedny Maciuś... jużem go więcej nie widziała! Gdyby mu ojciec częściej różgą skórę garbował, posłuszeństwa uczył, byłby mój pierworodny synek żył do tej pory!

Tak rozmawiała mama zajęcowa ze swojemi dziećmi.

I już nie wiem co dalej!

— Bardzo się cieszę, że na brytfance mamy pierniczek, a nie zajaca; ciąglebym myślała, że to biedny Maciuś.



X.

Dajże i mnie skosztować.

BAJECZKA o mamie zającowej i jej biednych dzieciach, które musiały cichutko siedzieć pod krzaczkiem, i którym nie wolno było ani śmiać się głośno, ani wybiegać na ścieżkę, ani kosztować smacznych jarzynek, wprawiała Rózię w smutne zamyślenie. Zapomniała o czekoladowej zupce i piernikowej pieczeni, i siedziała na swojej ławeczce, z główką podpartą na rączce.

— Ach, Zosiu—odezwała się wreszcie— gdybym wiedziała, gdzie zajączki mieszkają, zarazbym do nich poleciała. Powiedziałybym im:

— Nie bójcie się, ja wam nic złego nie zrobię; przyszedłam wam tylko przypomnieć,

żebyście zawsze słuchały mamy, nastawiały uszu, uczyły się prędko biegać i nie zaglądały do ogrodów warzywnych. Widzieliście przecież, jak to Maciuś biedaczek życiem łakomstwo przypłacił! A obiecywał mamie poprawę, obiecywał i nie dotrzymał! Moja przyjaciółka, Zosia, nigdy nie łamie danego słowa, nie bawi się ogniem, bo przyrzekła to swemu tatusiowi. Zosi można zawsze wierzyć.

— Prawda, dobrze będzie, jak im tak powiem? Może się to na co przyda?

Zosia pokiwała główką, ale myślała o czem innym.

— Obiad już gotów, teraz trzeba stół nakryć i siąść do jedzenia.

Zosia wysunęła stolik na środek pokoju, przykryła go serwetką, położyła naprzeciw siebie dwa płytkie talerzyki, na nich dwa głębokie, wylała z garnuszka zupę do wazy i postawiła ją na stole.

— Chodź, Różyczko, na obiadek, a weź Lorcię i Bińcię z sobą; tamte dzieci jakies niezdrowe, lepiej niech zostaną w łóžeczkach.

Małe przyjaciółki usiadły naprzeciw siebie, z córeczkami na rękach.

Zazwyczaj, gdy przynoszą wazę na stół, zupa jest już zupełnie gotowa; tutaj rzecz się miała zupełnie inaczej.

Zosia zamieszała chochelką w wazie, nabrała trochę zupy i spróbowała. Nie mogła się rozsmakować... nabrała więc drugi raz.

— Zdaje się jakoś niebardzo słodka.—
I wysypała do wazy cukier z moździerza.



Znów łyżeczka powędrowała do buzi.

— Nie taka dobra jak mamina... cóżby to miało znaczyć?

Różia tymczasem siedziała przed próżnym talerzykiem jak na rozżarzonych węglach. „Zosia próbuje i próbuje, myślała sobie, niezadługo nie w wazie nie zostanie, a ja mam siedzieć i patrzeć się? Wiem, że

to szkaradna rzecz napierać się, ale... ja jej tylko przypomnę...”

— Zosiuniu, możebyś i mnie dała pokosztować?

— Ach, prawda! zapomniałam. Podaj talerzyk.

Naląła Rózi trzy pełne chochle, sobie tak samo, poczem siadły spokojnie i zjadały ze smakiem.

Ale Lorcia i Bińcia bardzo były niegrzeczne, zacisnęły buzie i ani kropelki nie chciały przełknąć.

— Ach, te grymasy, te grymasy!—zawołała Zosia z gniewem. — Tyle lat was uczę, że co mamy jeść, to i dla dzieci powinno być dobre; królewnyście, czy co? Pewna jestem, że królowny Hanusi w fasolowych pokoikach, nigdy tak doskonałej zupki nie jadły. Ale to tak zawsze, im komu lepiej na świecie, tem mu się więcej zachciewa. Za karę nie dostaniecie marmeladki; kto nie je zupy, nie może jeść legominy. Tak, tak, moje panny, ja tu prędko porządek między wami zrobię; jak się dobrze wygłodzicie, to nawet po surowej marchwi będziecie się oblizywać.

— Wszystko to prawda, ale zupy zo-

stało tyle i legominy pół salaterki, cóż my z tem zrobimy? Żeby choć ubogi jaki przyszedł!

— Aha... wiem! Róziu, połóż dzieci do łóżeczek; gniewam się na nie, wolę ich nie widzieć, niech sobie śpią.

— A my tymczasem co?—spytała Rózia ciekawie.

— Zaraz zobaczysz. Wyjmij z szafy ten większy koszycek i daj mi go tu.

Zosia wstawiła ostrożnie do koszyka wazę z resztą zupy i salaterkę z siekanymi jabłkami, przegrodziła piernikiem, przykryła z wierzchu serwetką i spojrzała z uśmiechem na Rózię.

— No, wiesz co teraz będzie?

— Chyba staniemy w bramie i będziemy czekać na kulawego staruszka?

— O, nie!

— No to może na głuchoniemego chłopczyka?

— I to nie. Pójdziemy sobie do Hanusi. Tylko nie myśl, że ona głodna, że płacze tam sama bez mamy. Broń Boże! Janowa bardzo ją kocha i odchodząc, nigdy nie zapomina zostawić jej obiadu. Wprawdzie to tylko chleb z masłem i mlec-

ko, ale gdy wieczorem Janowa wraca do domu, gotuje zawsze ciepłą kolacyjkę dla siebie i Hanusi. Więc wiesz, my tylko pójdziemy pobawić się z Hanusią. Zaczniemy jej opowiadać bajeczkę o głupim Biedoklepie, co to dostał od czarownika cudowny stoliczek; koszyk z jedzeniem postawimy nieznacznie gdzie blisko i w chwili gdy ją zawołam: „Stoliczku nakryj się!” ty w okamgnieniu położysz na stole serwetkę i ustawisz obiadek. Toż to będziemy się śmiały z Hanusi, jak wielkie oczy roztworzy, co?

— Aj, chodźmy, chodźmy czempredzej!

— Ale pierwej musimy opowiedzieć się mamie; już dwa razy dzisiaj biegałyśmy do Hanusi, może mama nie pozwoli jeszcze trzeci raz.

Mama pozwoliła i dziewczynki wybrały się w drogę, niosąc koszyk naprzemiany, a pilnując, żeby się waza nie przechyliła i zupka nie wylała.

— Sliczna będzie zabawa—powtarzała sobie Różia cichutko, — „Stoliczku nakryj się!” paff... i wszystko gotowe. Pewno będzie Hanusi bardzo smakować.

Oddała Zosi koszyk na resztę drogi, a sama pobiegła naprzód.

— Cóż to? Tak się drzwi łatwo otwierały, a teraz ani rusz. Nie mogę otworzyć! — zawołała.

— Poczekaj, spróbujemy obie razem, tylko jedzenie na bok odstawię... zamknięte? a gdzież Hanusia?

— Może się zamknęła i śpi?

— Hanusiu, Hanuusiu! Otwórz-no!

— Cicho, jak makiem zasiał.

— Wołajmy jeszcze raz.

I dwa piskliwe głosiki zaczęły powtarzać raz po raz:

— Hanusiu! Hanuusiu! Hanuuusiu!

— Znudziło jej się samej siedzieć i usnęła, jak ta królewna w zaczarowanym zamku. Królewna sto lat spała, zanim ją książkę Lubomir obudził... może i Hanusia śpi snem zaczarowanym!

— A pająk?

— Cóż pająk? Ani nam drzwi nie otwory, ani się odezwie.

— A prawda.

— I cóż my biedne teraz poczniemy! Ach Boże!

— I na podwórzu niema nikogo.

— Może wszyscy ludzie, co tu mieszkali, wyprowadzili się na inne mieszkanie?

Wtem:

— Zosiu! Różyczko! — dał się słyszeć przyciszony głos z góry.

— Słyszysz? Ktoś nas woła.

Dziewczynki zadarły główki: w jednym z okien drugiego piętra, stała Hanusia i dawała im rączkami znaki, żeby nie krzyczały tak głośno.

— Zejdź do nas, będziemy się ślicznie bawiły—rzekła Zosia.

— Kiedy nie mogę. Ale gdybyście ci-chutko, na paluszkach weszły na schody, tobyśmy pogadały. Możecie dojść aż do drzwi, ale do izby was nie wpuszczę.

— Dlaczego?

— Powiem wam, ale chodźcie do mnie.

Dziewczynki nie dały się dwa razy prosić. Skradając się jak myszki, wdrapały się na drugie piętro; mimo to, stare, zeschnięte schody skrzypiały nawet pod ich leciutkimi nóżkami.

— No i co? — spytała Zosia, podchodząc do drzwi.

— Na progu stała Hanusia, trzymając w rączce sznurek, którego drugi koniec przywiązany był do drewnianej kołyski.

Pociągając w miarowych odstępach sznurę, poruszała kołyskę tam i napowrót.

— Puść nas, będziemy się razem bawić.

— Niewolno. Franciszkowa powiedziała, żebym, broń Boże, nie odstępowała Basi i nie wpuszczała nikogo.



— Eee... co za nudziarstwo! — rzekła Różia. — Myśmy przyniosły dobre rzeczy i chciałyśmy się z tobą zabawić w obiadek; zamknij drzwi i chodź z nami na dół.

— Oj, poszłabym z ochotą, ale ani sposób. Wiecie, Franciszkowej mąż jest traczem i ona poszła dziś z wielką płachtą na tartak po trzaski. Jak przyniesie, to i nam daruje trochę drewek, ale zato ja muszę pilnować Basi.

— Cóż jej się stanie, jeżeli drzwi przyklniesz i na pół godzinki zbiegniesz pobawić się z nami?

— Obudzi się zaraz i zacznie okropnie krzyczeć. Ona jeszcze bardzo mała, często płacze i nikt jej nie umie utulić, tylko mama. A że mamy niema i nieprędko przyjdzie, więc najlepiej, żeby cały czas spała. Dlatego to Franciszkowa posadziła mnie przy niej. Rozumiecie teraz?

— Masz-że przynajmniej swoje fasolki? Hanusia wstrząsnęła głową.

— Może jaką zabaweczkę?

— Może książkę z obrazkami?

— Nic? Ach jakżeś ty biedna! A gdybyśmy wszystkie trzy usiadły na dole przy schodach i bawiły się cichutko? Pilnowałybyśmy, żeby ani pies, ani kot nie dostał się do Basi, spałaby sobie spokojnie i nam byłoby dobrze.

— Nie mogę odejść — odparła smutnie

Hanusia. — Franciszkowa powtarzała kilka razy, odchodząc: „Moja Hanusiu, nie oddalaj się ani na chwilę z izby, siedź kamieniem przy Basi.” Jestem już i tak nieposłuszna, że na próg do was wyszłam, bo kamień nie powinien się ruszać.

Wtem dziecko zakaszlało w kołysce; mała niańka zbliżyła się na paluszkach, poprawiła kołderkę, odpędziła muchę co usiadła Basi na oczku, przymknęła drzwi i kołysała dalej.

Dwie przyjaciółki zostały same.

Dziwnie im się zrobiło na serduszku; zabrały w milczeniu koszyczek i zeszły na podwórze.

— Róziu, tam na górze u Franciszkowej, to całkiem jak u śpiącej królowny w czarowanym zamku: okno zasłonięte, słówka wymówić nie wolno, trzeba siedzieć... kamieniem, i tyle... tyle godzin dziecko kołysać... taram, taram, taram, biedna królowna — to jest... chciałam powiedzieć Hanusia.

— Żeby choć miała laleczkę, mogłaby nogą trącać kołyskę, a ze swoim dzieckiem się bawić. Przecie ubieranie i rozbieranie

lalki nie robi hałasu, a jakoś człowiekowi przyjemniej, niż tak się nudzić samemu.

— Ach, Różyczko! Takbym jej chętnie darowała którą laleczkę! Może tę od aniołka? Tylko, aniołek może pomyśleć, że ja jestem szkaradna, niepocziwa macocha, co biedną sierotę na śnieg do lasu wypędziła!

— Ach, gdzieżby taką rzecz pomyślał!


— Czemu nie? zobaczy, że jej u mnie niema i bardzo łatwo posądzi mię o złe serce.

— Wiesz jak zrób? Dziś wieczór, po pacierzu, gdy już będziesz usypiać, obróć się do ściany i opowiedz wszystko swemu Aniołowi Stróżowi; ale wszystko, co do słoweczka. On naturalnie całą noc musi być przy tobie, ale w dzień odleci na chwileczkę, zobaczy się z Aniołkiem Bożego Narodzenia i powtórzy mu całą historję; a wtedy już nie masz się czego bać, nie weźmie cię twój aniołek za macochę.



XI.

Powiem ci coś w sekrecie.

j tak was długo nie było, a tu podwieczorek czeka — rzekła do dzieci Małgosia.

Nie dziwiłaby się Małgosia, gdyby wiedziała ile ważnych spraw dzieci miały na głowie. Każdyby o podwieczorku zapomniał.

— Nie wiem czy się to uda z tym Aniołem-Stróżem... — mruzczała sobie Zosia półgłosem; może on w innej stronie nieba mieszka i rzadko się widuje z aniołkiem Bożego Narodzenia? Może się raz na rok tylko spotykają. Jeżeli się nie zobaczą zawczasu, gotów być kłopot.

— Dzieciątka, pijcież, bo wam kakao wystygnie! — upominała Małgosia, widząc, że dzieci siedzą zamyślane nad filiżankami.

— A prawda!—zawołały obie naraz.
— Patrzaj-no, Róziu, jaka para idzie!
Nasza zupka nie była taka gorąca. Ale co
do podwieczorku, to muszą go nasze dzieci
wypić, ani święty Boże nie pomoże. Ubra-
ne, czy nie ubrane, posadzimy wszystkie
za stołem, niech jedzą.



Obie mamy zajęły się troskliwie swe-
mi dziećmi; aż miło było patrzeć na pięć
córek Zosi, jak w świeżo upranych i wy-
prasowanych koszulkach zasiadły do pod-
wieczorku. Bińcia zaś, jako gość, siedziała
na pierwszym miejscu; zwłaszcza, że ona
jedna miała na sobie sukienkę i trzewiczki.

Tu srocza kaszkę warzyła,
Tu się w języczek sparzyła,
Tak swoje dzieci karmiła:
Temu dała na łyżeczkę,
Temu dała na miseczkę,
Temu dała w skorupczkę,
Temu we filiżaneczkę,

A temu maleńkiemu łebek urwała i poleciała!

— Patrzajcie dzieci, jak srocza wysoko leci! Frrrr!

— A za cóż mu ona łebek urwała? —
ze zgrozą Różia spytała.

— Czy ja wiem? pewno było uparte
i nieposłuszne. No, już się dzieci najadły?
Chwała Bogu, że się obeszło bez różgi. Te-
raz my: ja kropelkę, ty kropelkę, łyk, łyk,
łyk, fik, mik—już kakaa niema nic? Praw-
da, jak to przyjemnie pić z jednej filiżanki?

— Pikuś, biedactwo moje, tak ślicznie
służy na dwóch łapkach, a ja sama wszyst-
ko wypilaam.

— Nie sama, bo przez pół ze mną.

— No tak, ale... ja z tobą z twojej, ty
ze mną z mojej i skończyło się; a Pikuś
prosi. Na, piesku, został nam kawałek pier-
niczka, zjedz sobie. Ale dla koteczki, to
doprawdy nic już nie mamy.

— Dla jakiej koteczki?

— A patrzajże, kto przez przymknięte drzwi zagląda? Ho, ho, mądra kicia, boi się wejść do pokoju, bo widzisz, Pikuś już ją raz bardzo niegościnnie przyjął. O mało, że jej nie zagryzł.

— To on taki złośnik? Zosiu, jak to dobrze, że my nie mamy zasłoniętego okna, nie potrzebujemy kołysać maleńkiego dziecka i siedzieć... kamieniem! Najgorszy ten kamień!

— O tak, u nas wesolutko, jasno, swobodnie; biedna Hanusia, aż mi się płakać nad nią chciało. A przecież... to chyba już tak musi być na całym świecie, że ciągle śmiać się, bawić i dokazywać nie wolno. Ot na przykład zajączki, co sobie poskakały, to je mama do nory zapędzała. Albo i kwiatki...

Tu Różia przerwała Zosi.

— Zosiuniu...—szepnęła i zamilkła.

— Co Różyczko?

— Ach Zosiu... takbym ci chciała coś powiedzieć w wielkim sekrecie...

— No, co?

— Bo... e... jeszcze opowiadaj o kwiatkach; później ci powiem.

— Kiedy ja nie bardzo umiem; Małgo-

sia mi raz czytała o kwiatkach i o strumieniu. Poprosimy ją, może jeszcze ma tę książkę... Małgosiu!

— Co, Zosieńko?

— Mybyśmy tak chciały posłuchać o kwiatkach, o królu Mrozie i o dzieciach strumienia; moja Małgosiu kochana!

— Taka dziś Zosia grzeczna, nie zaudza mamy, sama sobie różne zajęcia wymyśla i bawi się zgodnie z małą Rózią, jakżebym miała serce takim dziewczynkom odmówić. Ale oddałam już książkę do czytelnicy, to wam chyba z pamięci opowiem. Słuchajcież.

Kwiatki mają ochotę zawsze kwitnąć i pachnąć, radeby, żeby to ciągle było lato. Ale mama-ziemia wie, że tak być nie może; mijają ciepłe dni, nadchodzą mrozy, wtedy mama-ziemia mówi kwiatkom: „hej, dzieci, pora spać. Zdejmujcie śliczne sukienki, marsz do łóżeczek!” I kwiatki słuchają mamy grzecznie, niema uparciuchów między nimi. Na dany znak wszystko usypia pod kołderką śniegową.

— Widzisz, Rózyczko, kwiatki muszą przez całą zimę tak cichutko siedzieć, jak Hanusia przy Basinej kołysce.

— Dopiero gdy się dobrze wyśpią—mówiła dalej Małgosia—a słońce dmuchnie gorącym wiatrem w samo ucho ziemi, zaświeci jej złotem światłem prosto w oczy... budzi się ziemia, wstaje ze snu i znowu woła na kwiatki, trawki i wszelkie roślinki: „Wstawajcie! Spieszcie się! Już wiosna, już wiosna!”

— Byłaś kiedy, Różyczko, z mamą za miastem, przy strumieniu? Opowiedzieć ci o nim?

Różia kiwnęła główką.

— Strumyczek ma mnóstwo dzieci; jego dzieci nazywają się fale. Nikt niema tak dużo i takich wesołych dzieci jak on. Skaczą po kamyczkach, śpiewają, śmieją się, aż się po całej łące daleko, daleko rozlega. A zgadnij, w co się najbardziej lubią bawić? W wyścigi! Od rana, jak zaczną biegać, to tylko woła jedno do drugiego: „Kto prędzej! kto prędzej!” I lecą, pędzą, możnaby pomyśleć, że się pozabijają, a im nic. Przewróci się kilkanaścioro na kamieniach, aż woda zabulgocze i biegną dalej. Jak które widzi, że go drugie już już dopędza, rzuca mu w oczy pianką wodną, a samo w śmiech i już go niema. Kto tego nie rozumie, przy-

siągłby nieraz, że się kłóca, ale to nie nieprawda: jeżeli za głośno gadają, to tylko dlatego, że sobie ciągle coś mają do opowiadania, a muszą się śpieszyć, bo jedno przed drugim ucieka.



A jednak bywa czas, kiedy i dzieci strumienia spać się kładą. Przychodzi na łąkę stary, siwy, król Mróz. Chmurny, zły i bardzo smutny ten król Mróz. Nie lubi śmiechu, nie kocha dzieci; staje na łące i od jednego jego słowa woda strumienia zamiera. — Milczeć! — woła — i wszystko cichnie.

Czasem jednak, rozbawione fale nie chcą słuchać pierwszego rozkazu. Wtedy Mróz kładzie na nie swą zimną, twardą, ogromną rękę... i najweselszy śpiew milknie, taniec ustaje, lodowa ręka Mrozu uspiła strumień. Mijają dni i tygodnie, mijają miesiące, dzieci strumienia stoją w miejscu, skamieniałe z zimna.

— Ach, Różyczko, jak im to musi być okropnie! żal ci ich?

— Ogromnie żal.

— Słońcu także bardzo żal wesołych falek; to też próbuje uwolnić je z pod ciężkiej ręki Mrozu. Posyła na lód swoje promienie. Z początku chłodne, blade, potem coraz cieplejsze, coraz złocistsze, aż w końcu król Mróz, który nienawidzi gorąca, zrywa się rozgniewany, owija się w płaszcz z chmur śniegowych i ucieka daleko, daleko... do kraju wiecznych lodów.

Wtedy dzieci strumyka zaczynają śpiewać, gonić się, dokazywać na nowo.

— A biedna Hanusia nigdy nie dokazuje, nigdy nie śpiewa, nie ma nawet do kogo zagadać!

— Biedna Hanusia!

— Bawcież się teraz same dzieciątka, ja muszę iść do mojej roboty.

— Dziękujemy Małgosi za ładną bajeczkę.

— Uważałaś Zosiu, że przy Basi, to Hania zdjęła nawet trzewiczki, żeby ciszej stąpać po podłodze.

— Muszę, muszę koniecznie powiedzieć o tem wszystkim Aniołowi-Stróżowi ...o, widzisz, jaskółka przeleciała tuż koło okna, skrzydłem uderzyła o szybę. Jaskółeczko! Czy ty umiesz zalecieć aż do nieba? Oj przydałyby mi się twoje skrzydełka, przydały!

— Może ci tatuś co poradzi?

— Prędzej mama. Mnie się zdaje, że mamy to się muszą we śnie widywać z Aniołami-Stróżami; moja mamusia to czasem wie nawet to, co ja sobie myślę. Skądżeby wiedziała, jeżeli nie od Anioła-Stróża? Ale, ale, Różyczko, a twoja tajemnica? Miałaś mi przecież coś powiedzieć?

Różia obejrzała się na wszystkie strony, a widząc, że niema nikogo, że nawet Pikuś chrapie w najlepsze, schyliła się do uszka Zosi i szepnęła:

— Zaprowadź mnie do sypialnego pokoju, ale czy można się tam zamknąć na klucz?

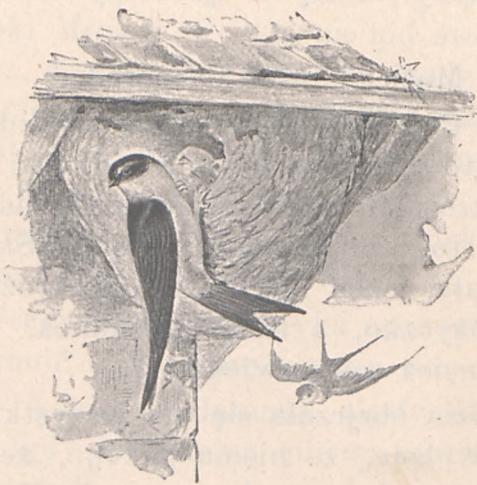
I dalej mówiła coś cichutko, ale to tak cichutko, że ani kotek za drzwiami, ani myszka pod podłogą nie potrafiłyby szeptać ciszej.

— Daj rączkę, pójdę z tobą.

— Ale tam z pewnością niema nikogo?

— Z pewnością.

— Pamiętaj zamknąć dobrze.



XII.

A teraz co?

Przyjaciółki wróciły z tajemniczej wycieczki, prowadząc Lorcę, jak małe dziecko, za obie rączki. Posadziły ją na kanapce i usiadły same obok niej. Po chwili Zosia wstała, uszła parę kroków, i oparłszy łokcie na stole, zatopiła paluszki w swojej krętej czuprynce.

— Co ci to? Główka cię boli?

— E, nie.

— Może Lorcia co znowu zbroiła?

— I to nie—odpowiedziała Zosia, głaszcząc córeczkę po buzi.— Stanęłam sobie tylko i zamyśliłam się.

— Nad czym?

— Nad bardzo ważną rzeczą; a jak się

myśli, to najlepiej oczy zasłonić, nie patrzeć na nic i nic nie mówić. Bo to widzisz, jużemy prały, gotowały, jeździły na spacer, chodziły do miasta po sprawunki i mieszkałyśmy w parasolowym domku, a dzień jeszcze długi, cóż teraz będziemy robiły?

— Ach, prawda; co teraz? Poczekaj, pomyślę i ja, może we dwie prędzej co wynajdziemy.

Różia stanęła obok Zosi i chciała tak samo oprzeć głowę na rączkach, cóż kiedy łokciami nie mogła dostać do stołu.

— Oj, Boże, Boże! nic nie umiem wymyślić.

— Dobry byłby wieczorek z tańcami dla lalek, ale nie sposób go urządzić: Małgosia poprasowała koszulki, a sukienki obiecała dopiero na jutro, bo dziś nie ma czasu. Przy obiedzie to jeszcze uszło, ale o balu nawet myśleć nie można.

— Ach, co za szkoda! Chociaż koszulki czyściutkie, koroneczką obszyte... czy w żaden sposób nie można?

— Ani mowy być nie może. Nie przeszkadzaj mi, Różyczko, muszę porządnie i długo poszukać w głowie jakiej nowej zabawy.

— Jak się to szuka w głowie? Ja nie umiem.

— Aha! Już znalazłam! Mogłoby nam które z dzieci zachorować, co?

— Wybornie! któreż?

— Najlepiej Kasia, bo najmniejsza, a z małemi dziećmi ciągly kłopot, bo co chwila chorują.

— Z nami już nie?

— E... z nami już nie... Rozepnij mi staniczek, muszę zdjąć sukienkę. Przy takim zmartwieniu i robocie około chorego dziecka, to mamie najwygodniej będzie w szlafroku.

— A masz szlafrok?

— Nie; osłonię się serwetą ze stołu, będzie to wyglądać bardziej po domowemu... O, biedna Kasia, biedna moja córeczka! Pomacaj-no jej główkę, Róziu; prawda jaka gorąca?

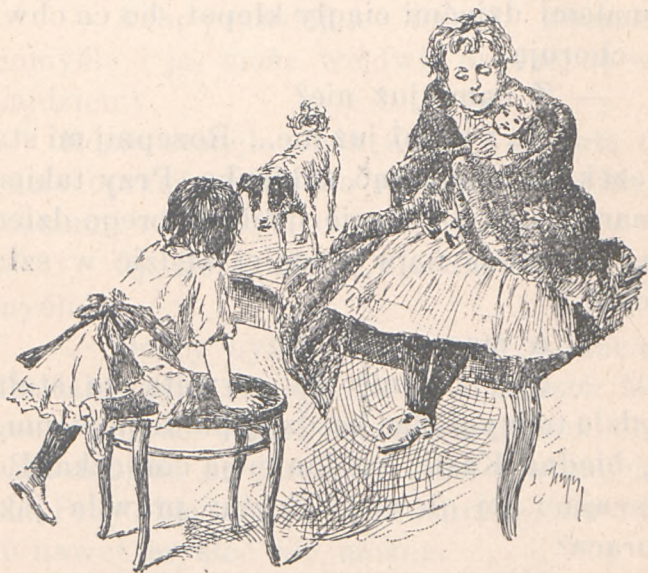
— Acha, musi mieć straszną gorączkę.

— Pokaż kotusiu języczek, możesz co niezdrowego zjadła? Nie może buzi otworzyć, taka osłabiona! Strach!

Zosia chodziła tam i napowrót po pokoju, śpiewając Kasi i huśtając ją na rękach!

— No, dzięki Bogu, zdrzemnęło się biedactwo; usiądę sobie w kącie na stole, bo tam przy oknie trochę wieje.

Hops — i już mama z córką siedziały na stole. Pikuś jednym susem wskoczył



za nimi, a biedna Różyczka została sama. Przydźwigała z wielkim trudem drewniany taburet i dopiero po tych schodach wygramoliła się do swojej przyjaciółki.

— A teraz co?

— Teraz, póki dziecko śpi, możemy po-

gadać o interesach. Więc wiesz, ja już dziś napewno poproszę Anioła-Stróża, żeby pogadał z Aniołkiem Bożego Narodzenia co do tej lalki. Powiedz i ty swojemu słówko.

— Powiem mu, że Hanusia po całych dniach siedzi sama, że prócz kolorowych fasolek niema żadnych zabawek, i że ty chcesz jej darować jedną ze swoich lalek.

— Gdyby cię Anioł-Stróż spytał przypadkiem, dlaczego ty sama tego nie zrobisz, to mu odpowiedz, że ja mam pięć lalek, a ty dwie tylko, pamiętaj.

— Ach, jak to musi być aniołkom przyjemnie tak sobie latać po niebie! Umiesz ty jaką powiastkę o aniołkach? Opowiedz mi, ja tak lubię słuchać.

— Nie pamiętam żadnej.

— Poszukaj dobrze w głowie, tak jak przed chwilą, może tam co znajdziesz; ja ci nie będę przeszkadzała, nie pisnę ani słówka.

I Różia dla wszelkiej pewności, przycisnęła obie rączki do buzi.

— Ach, Różyczko, szukam i szukam i nic znaleźć nie mogę; chyba o ładnych snach? Ale pewnie twoja mama już ci to nieraz opowiadała?

— Nie, nie, nic nie pamiętam, mów tylko prędko.

— Otóż, gdy noc nadchodzi, w ogrodzie rajskim, który Pan Bóg przeznaczył dla wszystkich duchów świętych, zgroma-



dza się ogromna moc aniołów, całe wojsko! Są to Aniołowie-Stróże dzieci z całego świata. Każdy ma powierzone sobie dziecko, o niem pamięta, kocha je i strzeże od złego. Gdy się więc zjedną w tym ogrodzie, zrywają czempredziej złociste kwiateczki, czerw-

ne wisienki, rumiane jabłuszka i gruszcзки z rajskich drzewek, potem łamią palmowe gałązki i każdy ze swoim bukiecikiem, koszyczkiem owoców i gałązką, spływa na skrzydłach ku ziemi. Gdy na niebie jasno



gwiazdy świecą, widać wyraźnie biały szeroki szlak idący przez środek, jakby drogę.

Ja tego nigdy nie widziałam, bo zawsze śpię o tej porze, ale mamusia mówiła mi, że tą drogą lecą Aniołowie-Stróże z nieba na ziemię i że to ich skrzydła białe tak lśnią między gwiazdami. Czas jakiś płyną

w powietrzu razem, potem się rozdzielają, rozdzielają i każdy zstępuje do domu, gdzie śpi jego dziecko. Pochyla się nad łóżczkiem, okrywa kołderką, pokazuje we śnie swemu dzieciątku rajskie kwiaty i owoce, i szepce mu do uszka o drzewku Bożego Narodzenia i najpiękniejszych zabawkach.

Wtedy śnią się nam śliczne rzeczy. A dyabełkowi zazdrość, że dzieci są takie szczęśliwe, chciałby im dokuczyć, postraszyć we śnie wilkiem, tygrysem, albo jakim innym potworem. Skrada się cichuteńko do łóżka... ale Anioł-Stróż nie da się podejść, oho, widzi on wszystko doskonale! Powiewa palmową gałązką w znak krzyża, a szkaradny dyabełek z piskiem i złością ucieka do piekła.

— A jednak czasem śnią się takie rzeczy... aż strach!

— Wiesz kiedy? Oto, jeżeli dziecko było przez dzień niegrzeczne. Anioł-Stróż przypomina to sobie, zakrywa twarz skrzydłami i zaczyna płakać. Dyabełek, który tylko czyha na sposobną chwilę, korzysta z płaczu anioła i rzuca przed śpiące dziecko rozmaite okropności. Nim się Anioł-

Stróż spostrzeże, czasem już jest zapóźno, i dyabełek zrobił swoje.

Różia słuchała ze złożonemi rączkami, po chwili odezwała się:

— Ja mam u Pana Boga malutkiego braciszka, który został ślicznym aniołkiem w niebie. Pewnie to on czasem przylatuje do mnie w nocy razem z Aniołem-Stróżem i we dwóch mnie pilnują? Dlatego bardzo rzadko śnią mi się brzydkie rzeczy.

— O, pewno, że tak! Ale zapomniałyśmy o naszej biednej chorej; trzeba jej dać lekarstwo. Zejdź Różyczko ze stołu, bo mnie z dzieckiem trudno się ruszyć i podaj resztę cukru, co została w moździerzu; jest tam łyżeczka na półce. Ja potrzy mam Kasi rączki, żeby niemi nie wymachiwała, a ty jej wsyp do buzi lekarstwo.. Wiesz, to jest taki proszek okropnie gorzki, nazywa się chinina. Zawsze się go zażywa w gorączce.

— Jakże wsypię, kiedy ma buzię zamkniętą?

— To tak, nibyto, przyłóż tylko. Och, niegrzeczna Kasia, brzydkie dziecko! Życie mamie zatruwa. Dlaczego nie zażywasz

lekarstwa, kiedy ci mama każe? Patrz, ciocia Różia i mama spróbują.

I spróbowały; ani się skrzywiły, wkrótce zjadły wszystko lekarstwo z moździerza. Resztę zaś na łyżeczce dały choremu dziecku. Jakoś usłuchało i zażyło.

— Teraz obwiążemy jej główkę i zrobimy okład na szyję, może do jutra zmniejszy się gorączka.

— Zosiu, czy ty wolisz dzień, czy noc?

— Dzień, sto tysięcy razy—bez namysłu odparła Zosia.

— Dlaczego?

— Bo w dzień jem dobre rzeczy i doskonale się bawię, a w nocy muszę tylko spać.

— Ale masz za to aniołka, co ci przynosi sny z rajskiego ogrodu.

— W dzień mam także aniołka, i ty masz swojego, i każde dziecko ma swojego.

— A cóż on ma w dzień do roboty?

— Co ma do roboty? Zmiłuj się, to ty nic nie wiesz?

— O... przepraszam; przecie rano i wieczór się modłę: „Aniele-Stróżu mój, ty zawsze przy mnie stój, jak we dnie, tak i w nocy, bądź mi zawsze ku pomocy.”

— No widzisz, jakże możesz mówić, że Anioł-Stróż mało ma do roboty! Ja sobie nawet czasem myślę, że na dzień jest inny, a na noc inny, bo jak się jeden zmęczy, to musi lecieć do nieba odpocząć, a zastępuje go drugi. Słuchaj Różyczko, idź przez pokój powolutku, od okna ku drzwiom.

— Na co?

— Zobaczysz.

Różia posłusznie spacerowała po pokoju, a Zosia szła za nią krok w krok na paluszkach, z wyciągniętymi rączkami, poruszając nimi na podobieństwo skrzydeł.

— Czujesz, że idę za tobą?

— A jakże.

— Naturalnie, bo ja jestem człowiekiem, to mnie i widzisz i słyszysz, ale aniołka widzieć nie możesz. A on ciągle, ciągle, bez ustanku jest przy tobie. Jak się poślizgniesz i już, już, prawie ziemi dotykasz, a przecie się zatrzymasz i nie upadniesz, to co? Myślisz może, żeś to ty taka zgrabna? Gdzieżtam! To Anioł-Stróż zatrzymał cię za rączkę. Ja kiedyś przy obiedzie nabrałam pełną łyżkę rosolu...

— I co?

— I, ni z tego, ni z owego, wypadła mi z ręki na talerz. A tu mama powiada:

— Ostrożnie Zosiu, rosół gorący jak war, uważaj, żebyś sobie języczka nie sparzyła.



— Zanim mnie mama przestrzegła, kto mi łyżkę z ręki wytrącił? No, powiedz, kto?

— Anioł-Stróż!

— Kiedyś, w ogródku, pszczoła usiadła mi na twarzy, i pewno byłyby mię ukąsiła, ale wiaterek zawiał i ona odleciała sobie na

kwiatki. To, Róziu, nie był wiaterek, to Anioł-Stróż swoim skrzydłem odpędził ją ode mnie. Innym znowu razem, kiedy wycinałam sobie figurki z papieru i nożyczki chwyciły mię nagle za palec, mogłam się strasznie skaleczyć, a tylko odrobinę skórkę przecięłam. Troszkę bolało, ale nie bardzo.

— Aha, Anioł-Stróż wie, że mama zabrania ruszać nożyczek, więc za karę pozwolił im skaleczyć cię troszeczkę, prawda?

— A tak. Jeszcze ci coś powiem. Gdy dziecko jest niegrzeczne, zuchwałe, nieposłuszne, to Anioł-Stróż płacze... biedny aniołek, płacze, ale nie z własnej winy.

— Czy myślisz, Zosiu, że twój aniołek płakał wtedy, gdy Lorcia upadła z łóżka na ziemię? Wiesz, wtedy... co to leżałaś i byłaś chora.

Zosia zarumieniła się po same uszka.

— Nie wiem—mama mi nic nie wspominała—ale pewno płakał.

— A gdy ja nazrywałam kwiatków i umyślnie porzrzucałam je po ścieżce, zamiast włożyć do wody? A gdy połamałam żołnierzy Henrysia... także umyślnie?

— O, to był wielki grzech; to była zło-

śliwość! Anioł-Stróż musiał się wtedy łzami zalewać. Okropność!

— Ee... to ja lepiej nie chcę mieć w dzień Anioła-Stróża.

— Cicho, cicho! Nie mów tak! Aniołek usłyszy i odleci. A bez anioła staniesz się bardzo, bardzo niepoczciwą. Kto wie, może jeszcze gorszą od pokrzywy. Ach, przecież byś nie chciała być takim szkaradnem, złem stworzeniem? Niktby by cię wtedy nie kochał.

Różia złożyła rączki.

— Kochany Aniele-Strózu, ja tylko tak żartowałam; nie odchódź ode mnie ani na chwileczkę. Czasem, czasem, raz albo dwa razy na dzień, mógłbyś się trochę zdrzemnąć, albo oknem powyglądać, bo ja bywam czasami niegrzeczna, a nie chciałabym, żebyś płakał przezemnie. Zosiu, a jeżeli, na przykład, Pan Bóg przez zapomnienie pošle mojego aniołka gdzie z jakim interesem i ja muszę być sama, to wtedy, nie moja wina, choć jestem niegrzeczna?

— Mamusia mówiła, że Pan Bóg wszystko mądrze urządza. Nie może więc nic robić „przez zapomnienie.” A zresztą choćby przy tylu kłopotach zapomniał kiedy

o mnie, to ja o siebie się nie boję. Mam w niebie dziadunia i babunię, to Mu z pewnością przypomną, co potrzeba.

— A ja mam braciszka, Adasia.


— Taki maleńki aniołek, to może nie śmie naprzykrzać się Panu Bogu. Ale poproszę moją babcie przy pacierzu, niech już za jednym zachodem i mną i tobą się opiekuje. Śniło mi się kiedyś, że biegałam po ogrodzie i zleciało się skądciś mnóstwo motyli. Bawiłam się z nimi, nie uciekały odemnie. Potem zaczęły rosnać, rosnać, aż się przemieniły w aniołków, wzięły mnie na swoje skrzydła i powiedziały, że mię zanosą do nieba, żebym zobaczyła, jak tam ślicznie. Już byłam bardzo wysoko, już widziałam bramę złotą, brylantowemi gwoździami nabijaną, wtem ktoś mnie pocałował i obudziłam się. To była mama.

— Ach jaka szkoda!

— Ee... może nie szkoda. Pomyśl no, a gdybym ja naprawdę doleciała do nieba i już potem nie mogła wrócić na ziemię, to dopieroby mamusia strasznie płakała! Już nie wiem, co gorsze, czy gdy Anioł-Stróż płacze, czy też kiedy mama.

XIII.

Patrz no, co ja potrafię!

— j Róziu, Róziu! Zapomniałyśmy na śmierć o naszym chorem dziecku. Okropność!

— Może jej się pogorszyło? zobaczmy.

— Nie, dzięki Bogu, wcale dobrze wygląda; gorączka musiała już minąć. Widzisz Kasiuniu, jak to dobrze, żeś zażyła lekarstwko. Teraz najlepiej będzie wyprowadzić ją na świeże powietrze.

— A jeżeli jej zaszkodzi?

— Spytaamy pana doktora. Zaczekaj, zaraz go poproszę.

Po chwileczce zapukał ktoś do drzwi.

— Proszę wejść! --zawołała Rózia.

I Zosia weszła z wielką powagą, trzymając w jednej rączce kapelusz tatusia, a w drugiej jego laskę ze złoconą gałką. Rękawiczki taty wisiały jak worki na ma-



lutkich rączkach pana doktora i zachodziły aż po łokcie.

— Dzień dobry pani; jakże tam zdrowie córeczki? — rzekł doktor grubym głosem.

— Czy nie boli brzuszek?
Czy nie spuchł paluszek?
Co słyhać z oczkami,
Z noskiem i ząbkami?
Czy płucze gardziołek?
Czy pije rosołek?
Czy grzeczna, cierpliwa?
Lekarstwo zażywa?

— Kiedy ja nie umiem odpowiedzieć!—
skrzywiła się Różia.

— Cichoże; cóż to za mama, taka maz-
gajowata! Słuchaj, tak się mówi:

Tu Zosia poszeptała coś do uszka Ró-
zi, która też, mrugając oczkami, z wielkiem
przejęciem powtórzyła prawie bez zająk-
nienia:

— Dzięki lekarstwu pana doktora,
Moja córeczka już nie jest chora,
Proszę macać główkę, rączki,
Żadnej niema już gorączki!

— A kto cię tego nauczył? — spytała
Różia.

— Małgosia bawi się czasem ze mną,
to mi opowiada takie różne wierszyki. A te-
raz odniosę tatusiowe rzeczy na swoje miej-
sce i pójdziemy z dzieckiem do ogrodu. Tyl-
ko muszę włożyć napowrót sukienkę, bo

gdyby mnie kto zobaczył, gotówby pomyśleć, że to strach na wróble.

— Ale też ten deszcz pada i pada! — zawołała Różia.—Czy można w deszcz wychodzić do ogrodu?

Zosia dobrze wiedziała, że nie można; mama nie raz i nie dziesięć razy surowo jej zakazywała paprać nóżki w błocie i niszczyć buciki, pończoszki i sukienki. To też jakiś głos cichy i smutny, zapewne głos Anioła - Stróża, szeptał jej w uszko: „Lepiej siedźcie w pokoju, może się wypogodzi za godzinę, to sobie pójdziecie.” Ale do drugiego uszka, także coś jej szeptało: „Ee... ktoby tam zważał na głupi deszcz, cały dzień nudziłaś się w ciasnym pokoju; będziesz uważała, to się nie zwalasz.” Zosia wołała usłuchać tego drugiego, niedobrego głosu i porwawszy Kasię z kołoseczki, zawołała:

— Chodź, chodź, Różyczko! Doskonale się zabawimy. W ogródku jest rynsztok, pewno w nim teraz woda płynie, będziemy sobie przeskakiwać przez rzeczkę.

I pobiegły.

— O, widzisz, jaka rzeka! Hop! Teraz

ty! Iiii... tak nie sztuka, trzeba obiema nóżkami naraz. Widzisz, jak ja to robię?

Różia spróbowała obiema nóżkami, ale się poślizgnęła i upadła noskiem i rączkami na mokrą trawę, a nóżki znalazły się w samym środku rynsztoka.



— Tylko nie płacz! Cicho! mógłby kto usłyszeć i dostałybyśmy porządną burę. Głupstwo rączki, umyjemy się, gdy wrócimy do pokoju; a sukienka i trzewiczki same wyschną, nie bój się. Kasia taka małeńka, deszcz ją przemoczył do nitki, a nie

placze. Pobiegajmy sobie. Ciap, ciap, ciap, chlap, chlap, chlap, myślisz brzydki deszczu, że się ciebie boimy? Oho!

— Może już dosyć, wracajmy do pokoju!

— Wracajmy. Pysznie było, prawda?

— Aha; ale mi zimno, sukienkę mam zmoczoną i trzewiczki także.

— Zdejm sukienkę i rozwiś na krzeselku, a trzewiczki wyschną na nóżkach.

— Ach Zosiu, Zosiu! Patrzno, co się z tą biedną Kasią dzieje!

— Co takiego? Ach... nieszczęście!

Z ładnych blond loczków biednej Kasi porobiły się mokre brudne strąki. Dwie łzy płynęły po jej buzi.

— Czego ona płacze?— spytała Różia.

— Ee... gdzieżby płakała; to deszcz tak jej z włosów cieknie.

Zosia usiadła na niskiej ławeczce, położyła Kasię na kolanach i własną chustką do nosa zaczęła ocierać twarzyczkę lalki. Oj... a to co? Kasia blada jak ściana leżała z zamkniętymi oczkami, a zato na chusteczce Zosi pełno było różowej farby. Deszcz splukał żywe rumieńce, rozmazał brwi po całym czole, zniszczył włoski, sło-

wem, ze ślicznej laleczki zrobiło się w przeciągu kwadransa szkaradne czupiradło.

— O mój Boże! To dopiero zmartwienie! Teraz, to Kasia naprawdę chora i żadna chinina jej nie pomoże.

Dziewczynki rozplakały się.

Ale żal po niewczasie, na nic się nie zda. Płacze i lamenty nie przywróciły zdrowia lalce. Kasia leżała zemdlona i bardzo brzydka.

— Ani się nawet mamie nie mogę poskarżyć, bo...

— Bo co?

— Bo nie wolno biegać po deszczu i mama bardzoby się na mnie gniewała. Wolę już siedzieć cicho.

— Wiesz... a gdyby ją położyć do kołyski i ciepło okryć? Rozgrzeje się i zarumieni, co?

— E... to na nic! nic nie pomoże—odparła Zosia ponuro.—Zresztą spróbuj.

Różia odebrała Kasię z rąk zrozwolonej mamy, i ułożywszy ją wygodnie na poduszczykach, przykryła aż trzema kołderkami. Potem złożyła rączki do modlitwy, podniosła oczki w górę i szeptała cichutko: „kochany, dobry Aniele - Strózu! Zlituj

się nad biedną Kasią!”—Potem pełna otuchy pobiegła do Zosi.

— Nie smuć się, nie smuć — rzekła, głaszcząc ją po buzi rączkami. — Jeszcze wszystko będzie dobrze, rozwesel się! Ja nie mogę patrzeć, gdy ty taka smutna jesteś.

Zosia pokiwała główką.

— Słyszałam, coś mówiła do Anioła-Stróża. Ale to na nic.

— Zosiu, jak można tak mówić!

— Powiadam ci, że na nic. Po pierwsze, lalki nie mają Aniołów-Stróżów, bo są tylko nieżywymi zabawkami, a po drugie... nasze rodzone anioły pewno gdzieś bardzo od nas daleko. Byłyśmy niegrzeczne; tyś mniej winna, boś maleńka i ja ci dałam zły przykład. To też twój anioł może cię jeszcze troszkę kocha, ale mój... oho... na jaki tydzień do nieba sobie odleciał. Jest jeden ratunek: mamę przeprosić, to i aniołek przebaczy.

— No, to idź, biegnij prędko do mamy! Kiedy się bardzo boję.

— Coby tu zrobić, żeby Zosię uspokoić! — myślała sobie Różyczka. — Aha... wiem!

— Patrz no Zosieńko, co ja potrafię, o!
Przewróciła stołek do góry nogami i stanęła ostrożnie na wąziutkiej listwie, rozkładając rączki dla równowagi.

— O, ja różne sztuki umiem! Umiem skakać na jednej nodze. Sprobujmy, kto prędzej doskoczy do drzwi, chcesz?

Zosia dała się uprosić; cóż, kiedy te łyzy niezdolne ciągle jej napływały do oczu.

— A możeby zajrzeć do Kasi? Ale pewno się jeszcze nie rozgrzała, czekajmy.

I czekały jeszcze dobry kwadrans; gdy jednak przystąpiły na paluszkach do kołyski i pochyliły się nad nią z nadzieją i ciekawością, gorzki zawód odmalował się na ich twarzyczkach: biedna Kasia równie szkaradna jak przed godziną, leżała pod trzema kołderkami i ani myślała się rozgrzać.

— A możeby spróbować natrzeć jej twarz tą zafarbowaną chustką; może się zaczerwieni?

— Daj chusteczkę—rzekła Zosia wzdychając.

Tarła, tarła, aż jej rączki omdlewały, lecz Kasia stawała się coraz brzydszą.

— Gdybym miała różową farbę, toby można pomalować.

— Różową farbę... czekaj... gdzież ja niedawno widziałam różo... ach prawda!

Oczka Rózi zajaśniały radością; poskoczyła ku drzwiom.

— Do widzenia! Zobacysz, zobacysz, wszystko będzie dobrze!

I nie tłumacząc się więcej, pobiegła pędem.

— Henrysiu, Henryczku najdroższy! — zawołała, wpadając bez tchu do pokoju, gdzie się uczył jej starszy braciszek. — Henrysiu, mam do ciebie wielką, wielką prośbę!

I opowiedziała mu smutną przygodę Kasi.

— Ty masz takie śliczne farby, pożycz nam na pół godzinki, pomalujemy usta, buzię i brwi naszej córeczce.

— Co znowu! Wy chcecie malować? nie, nie mogę pożyczyć, to są drogie farby, a takie małe bębny to wszystko popsują.

— Mój Henryczku, nie popsujemy! A gdy tatuś przyniesie pierników, albo angielskich cukierków, to ci wszystkie oddam, nie zjem ani jednego!

— Nie, to na nic. Zresztą i tak byście

sobie nie dały rady. Pobiegnij do swojej przyjaciółki i przynieś mi tę lalkę, już ją sam pomaluję.

Różia nie dała sobie dwa razy tego powtarzać i skoczyła jak fryga.

— Zosiu, daj prędzej laleczkę, mam pysznego dla niej doktora, zobaczysz, jak nam ją pięknie uleczy!



I nim się Henryś obejrzał, już była u niego z powrotem.

— A to dopiero koczkodan! — zawołał braciszek, spojrzawszy na nieszczęsną Kasię.

— Nie koczkodan, nie! Ona była śliczna, to nie jej wina, że zbrzydła. Pomaluj jej buzię, a zobaczysz jak zaraz wyładnieje.

Ze zdumieniem i radością przypatrywała się Różia robocie braciszka! Pendze-

lek umaczany w różowej farbie, przywrócił świeżość zdrowia chorej Kasi; umaczany w pąsowej, dał jej koralowe usteczka; umaczany w brązowej, zaznaczył równiutko nad oczami ciemne brewki; słowem, nie upłynęło dziesięciu minut, a laleczka wyglądała jak nowa.

Tylko jeszcze te splątane włoski! Ale i na to znajdzie się rada.

— Dziękuję ci, mój złoty, kochany, jedyny braciszku, i od Zosi także ci dziękuję. A teraz lecę.

— Widzisz, widzisz, jaka ładna nasza Kasia!—wołała z radością Różyczka, wbiegając do pokoju przyjaciółki.—Tylko jej nie całuj, bo jeszcze mokra. Niech sobie poleży spokojnie, póki farba nie wyschnie.



XIV.

A teraz pokazujemy!

— **N**o, ale co będzie z włoskami? — spytała Zosia, przebierając w palcach splecione loczki Kasi.

— Możeby je obciąć przy samej skórze, to ładniejsze odrosną—doradziła Różia.

— Oj, Różyczko! Nie myślałam, żeś ty taka jeszcze niemądra. Jakże odrosną? Przecie lalka nieżywa, ma na głowie przyklejoną perukę; gdybyśmy jej obcięły włosy, toby już do końca świata została chłopcem.

— No, cóż to szkodzi? Miałybyśmy lalkę-chłopczyka.

— Pewno, że nie nie szkodzi, tylko kto wie, jak to ta peruka zrobiona; obciąć

włosy najłatwiej, a gdy później znać będzie szycie i płótno, na którym loczki są naklejone, to co będzie? Ja już... próbowałam, ale to szkaradnie. Takie niezwywe stworzenie to doprawdy do niczego! Tylko co poprzykrywałaś ją kołderkami i pierzynami, czy się choć trochę zarumieniła? Czy się choć kapeczkę rozgrzała? Prawdziwe dziecko toby się już ugotowało w takim gorącu, a lalce nic.

— Ach, szkoda! Więc cóż zrobimy?

— Najprostszy ratunek, wziąć grzebyczek i ostrożnie, pomalusięku, włosy po włosku rozczesać, a potem spleść w dwa warkoczyki i związać wstążeczką. To nawet bardzo stosowne: mam już Kasię blisko od roku, wiecznie maleńkim dzidziusiem przecie być nie może. Dotąd chodziła w loczkach, teraz już starsza, trzeba jej zapleść warkocze.

Nauczona smutnemi doświadczeniami, Zosia wzięła się z rozwagą i cierpliwością do roboty. Czesła powolutku, nie szarpała, rozplątywała delikatnie mokre włosy, za to też doczekała się wielkiej pociechy, bo Kasi bardzo było do twarzy w gładkiej fryzurze i zaplecionych warkoczykach.

— Wygląda jak nowa. Buzia jej się trochę odmieniła, ale i tak jest ładna, prawda?

— O, bardzo ładna!

— Daj uszko, coś ci powiem.

— Dlaczego cicho?

— Bo się wstydzę.

— Aha.

Różia pochyliła główkę ku Zosi.

— Pamiętaj, Różyczko, żebyśmy już nigdy nie biegały po deszczu, ani same, ani z lalkami.

— Ani same, ani z lalkami! — powtórzyła uroczyście Różia.

— A choćbym ja nawet koniecznie chciała, bo czasem człowiek bywa uparty, to ty powiedz „nie!” i wyleczysz mnie.

— A czy ty mię posłuchasz?

— Posłucham, bo sobie dzisiaj zmartwienie przypomnę. Jabym zawsze chciała być grzeczną, a tu czasem paff, ni stąd, ni zowąd, zrobię coś bardzo złego.

— Skąd się bierze ta niegrzeczność?

— Przychodzi z piekła; przysyła ją dyabełek, bo to jego siostra. Pewno się zbliża tak... na paluszkach, żeby jej zdaleka nie spostrzedz, a gdy już jest blisko, oho... wtedy niema rady.

— Może tu gdzie jaka siedzi w kąci-
ku? Poszukajmy.

— Kiedy niegrzeczność najczęściej jest
niewidzialna.

— Nic nie szkodzi; jeżeli się ją do-
brze wypędzi, to choć niewidzialna, musi
uciekać.

Zosia rozśmiała się.

— Oj, ty dudku mały! Cóż ty sobie my-
ślisz, że niegrzeczność to myszka? W dziur-
ce pod podłogą się kryje?

— Kto wie, może myszka. Wypędźmy
ją. Jabym przysięgła, że ich tu ze dwie
siedzi pod szafą, albo za firanką.

Zosia poskoczyła do kuchni i wróciła
ze szczotką do zmiatania na długim kiju.

Dziewczynki zaczęły biegać z tą szczot-
ką po pokoju i płoszyć niegrzeczność.

Różia powiewała chusteczką i krzycza-
ła groźnie:

— A pójdziesz mi stąd! Ty uparta, nie-
posłuszna, nieporządna! Wynoś się zaraz!

A Zosia szturchała szczotką gdzie naj-
ciaśniej i wymiatała niegrzeczność z pod
szafy i z pod komody. Potem otworzyły
okno, żeby ułatwić ucieczkę tej siostrze
dyabełka.

— Idź sobie, idź! Nie cierpimy cię! Nie wracaj do nas nigdy!

— Ach, jak się zmęczyłam!

— A bo to ciężka praca bić się z niegrzecznością. Teraz prędyutko zamknę okno, ażeby nie powróciła i będziemy się bawić bezpiecznie. Odpocznijmy minutkę, a potem sobie potańczymy z naszymi dziećmi.

— Najlepiej tak—rzekła Zosia po chwili—jedna będzie śpiewała, a druga zaprosi lalkę do tańca, jak to panowie na balach robią. Potem się zmienimy, i ta co tańczyła, zaśpiewa, a tamta będzie tańczyć z lalką. No, biore twoją Bińcię do tańca, a ty graj i śpiewaj.

Różia namarszczyła czoło. Wiecznie przecie z „Wlazłkotkiem” nie będzie się popisywać... więc cóż? Aha, prawda!

W żłobie leży, któż pobieży
Kolendować małemu...

— Różyczko, zmiłuj się! To przecie nie do tańca.

— Nie? Cóż ja pocznę nieszczęśliwa!
Czekaj:

Tańcowała ryba z rakiem,
A pietruszka z pasternakiem,

Cebula się dziwowała,
Jak pietruszka tańcowała.

Ale to zakrótkie...

— Nic nie szkodzi, powtarzaj ciągle to samo, póki się nie zmęczone, dobrze?

— „Tańcowała ryba...—zapiszczała posłuszna Różia, jak mogła najgłośniej.

Po chwili zawróciło się Zosi w głowie usiadła z Bińcią na sofie.

— No, teraz ty tańczuj, a ja zaśpiewam:

Albośmy to jacy tacy,
Jacy tacy, jacy tacy,
Chłopcy krakowiacy,
Chłopcy krakowiacy.
Czerwona czapeczka,
Na cal podkóweczka.
Kerezyja wyszywana,
Guziczkami, pętliczkami,

Do okolusieńka—dała matusieńka.

— A teraz obie razem; spróbujmy, kto się potrafi dłużej kręcić, a nie upadnie.

A to co? I piec tańczy po całym pokoju i szczyotka do zamiętania kiwa się to w prawo, to w lewo; a podłoga taka jakaś nierówna, raz wysoko w górę się podnosi, to znów zniża się nagle, że jej nóżką nie można dosięgnąć.

Bęc... Różia usiadła niespodziewanie i niebardzo delikatnie na twardej podłodze. Ale się nawet nie skrzywiła. Dzięki Bogu, Lorci się nic nie stało. Spojrzała zdziwionem okiem dokoła siebie: Zosia wyskakuje



jak piłka, śmieje się, krzyczy, nóżkami przytupuje, ale co najgorsze, Bińcię podrzuca aż do sufitu! A może jej nie złapie...

Serduszko Rózi bije niespokojnie, śledzi oczkami swoją biedną córeczkę.

— Zosiu, Zosieńko... nie rób tak! Ja się boję. Bińcia spadnie na ziemię i stłucze się.

— Ale... śni ci się, nie bądź nudna. Jak dokazywać, to dokazywać!

No, przecie, Zosia zmęczyła się w końcu i usiadła obok Rózi.

— Aj aj, tak mi serce bije, że nawet mówić nie mogę!

— Odpocznij sobie. A możebyśmy się pomieniały na dzieci; ja się już tak stęskniłam za Bińcią. Daj mi ją, a weź swoją Lorcię.

— Jeszcze chwileczkę, jeszcze minutkę!—prosiła Zosia, a prosiła tak serdecznie, że niepodobna jej było odmówić.

Rózia przytuliła się do przyjaciółki i siedziały cichutko z córeczkami na rękach, bardzo zmęczone.

— O, teraz toby się przydało opowiadać bajeczki! —zawołała Zosia.—Różyczko, na ciebie kolej.

— Na mnie? Ja myślałam, że ja jeszcze jestem maleńka.

— Nie wykręcaj się, duże mamy opowiadają swoim dzieciom duże bajeczki, a małe mamy małe bajeczki.

— O mój Boże! w domu, to mama czasem zacznie, a ja dokończę i jeszcze w środku musi mi mama czasem podpowiadać. Ale tu, któż mi pomoże? nie nie umiem.

— Pomyśl, przypomnij sobie.

Różia podniosła oczy do sufitu, potem wpatrzyła się w okno; tak zawsze robi Henryś, gdy go mama słówek łacińskich pyta, ale ani rusz.

— Zosiu, ja nigdy nie potrafię!

— Cicho, cicho!—zawołała Zosia, zatykając rączką usta Rózi. — Cicho, zaraz ci powiem dlaczego, i to będzie właśnie bajeczka. Ale pozwolisz mi jeszcze bawić się z Bińcią?

— Pozwolę.

Różia bardzo lubiła słuchać bajeczek, ale myślała, że nieprędko jeszcze odbierze swoją lalkę, zatruwała jej całą przyjemność.

— Jaka ta Zosia dziwna—myślała sobie—tyle ma córeczek i właśnie jej się mojej zachciało.

Nigdy jeszcze tak Bińci nie kochała, jak dzisiaj. Cóż jednak było robić. Objęła Zosię jedną rączką za szyję, a drugą poło-

żyła na jej kolanach, żeby biedną Bińcię choć za sukienkę trzymać.

— No, to słuchaj: Była sobie jedna dziewczynka, nazywała się Frania. Słuchała mamy, grzecznie się myła, nie kłóciła się z braciszkami, ani z siostrzyczkami, nie psuła zabawek, wszyscy ją kochali. Ale miała jedną wadę: gdy czego nie umiała, to jej się zdawało, że się tego nigdy nie nauczy i nawet spróbować nie chciała, tylko się odrazu krzywiła i piszcziała: „Ja tego nigdy nie potrafię!”

Mama chciała ją nauczyć wdziawać pończoszki i trzewiczki, ale gdzietam! Co dzień rano aż się zanosila od płaczu, powtarzając: „nie potrafię, nigdy nie potrafię!” Zawiązał się węzelek na wstążeczce od warkocza, „rozwiąż Franiu” powiada mama, a ona się nawet nie patrzy w tę stronę, tylko zaraz płacze: „nigdy a nigdy tego nie potrafię!”

Bracia się z niej śmiali i przewali ją panną Niepotrafską. Kto to nazwisko usłyszał, śmiał się także i tak jakoś się zrobiło, że wszyscy Franię nazywali panną Niepotrafską. Przykro jej to było i przyszła do mamy prosić, żeby zakazała im tego dokućza-

nia. Ale mama tak jej odpowiedziała: „próbuj nauczyć się tego, czego nie umiesz, a co wszystkie dzieci w twoim wieku doskonale umieją; nie powtarzaj wiecznie w kółko „nie potrafię i nie potrafię,” a zobaczysz, że to przezwisko samo się gdzieś zapodzieje.

Frانيا zamyśliła się nad swoją biedą, a że nie była upartą, więc przyrzekła mamie, że się będzie starała poprawić. Ale słuchaj teraz, Różyeczko, co się dalej stało.

Nadeszło Boże Narodzenie, aniołek przyniósł wszystkim dzieciom śliczne zabawki, Franiu dostała się ogromna, wspaniale wystrojona lalka.

—Franiu, Franiu! naciśnij no sprężynkę przy gorseciku, zobaczysz, jak ta lalka przemówi do ciebie—zawołał jeden z braciszków.

— Jeszcześ takiej nigdy w życiu nie widziała—dodał drugi, przyciśnij dobrze, zobaczysz co to będzie.

Ale Franiu naraz się strasznie zrobiło, ledwie że lalki nie upuściła na ziemię. A nuż to jaka cudowna lalka i zamiast „mama,” „tata,” jak zwykle, gotowa krzyknąć: „Jesteś panna Niepotrafska!” Toby był wstyd dopiero! Już lepiej niech milczy do końca świata.

Biedna Frania spuściła główkę i odpowiedziała:

— Dzisiaj nie będę jej naciskała, spróbuję jutro, w święto.

I zabrała się ze swoją laleczką do kącika między piecem a szafą z książkami i tam bawiła się cichutko, nie próbując, broń Boże, czy lalka mówi i co mówi.

Na drugi dzień rano wszystkie dzieci poszły powiedzieć rodzicom ładne wierszyki, jakich się na powinszowanie wesółych świąt nauczyły. Frani nawet nie namawiano, bo zawsze kończyło się tylko płaczem i „nigdy nie potrafię.”

Aż tu Frania pierwsza do mamy przybiega, i ślicznie, bez zająknienia swój wierszyk wypowiada.

Wszyscy się bardzo ucieszyli, a najbardziej mama.

Dziadunio, który był przy tem, pogłaskał Franię, pocałował i rzekł:

— Widzicie, jaką to ja mam grzeczną wnuczusię. A skąd się to wzięło? Czy aniołek dał takie dobre natchnienie, czy laleczka szepnęła jej co do uszka? Przynieś no swoją lalkę Franiu, niech i ja ją zobaczę.

Z okropnym strachem zaprezentowała
Frانيا pannę Izabelę dziaduniowi.

— A czy ta laleczka mówi?

— Nie wiem.



— Jakto? nie próbowałaś jeszcze? Ta-
kaś nie ciekawa? Przyciśnijże sprężynkę.

Frانيا przycisnęła leciuteńko—nie.

— Mocniej, mocniej, czegoż się boisz?
Sam dziadunio nacisnął porządnie i pan-
na Izabela zawołała:

„Mama,” „tata.”

Frania spiekła ogromnego raka, bo jej się zdawało, że wszyscy dawno zgadli, co ona sobie myślała. Tymczasem nikomu to ani do głowy nie przyszło.

— No, ale teraz oddaj mi moją Bińcię! Już ją miała tak długo, długo, długo!

— No to co? Jeszcze troszkę!

— Nie chcę! Nie potrzebuję, Bińcia moja! Oddaj zaraz!

— E... nie! Poczekaj jeszcze trochę, moja droga! Weź tymczasem moją lalkę.

— Nie chcę twojej, oddaj mi moją! Słyszysz Zosiu? Zaraz!



XV.

Już po przyjaźni!

Zosia nie puszcza lalczynej głowy,
A Różia ciągnie za nogi...

Gdy ją rozerwą na dwie połowy,
Co będzie z Bińci niebogi?

— Oddaj!—I Różia bije piąstkami,
Ze złością nóżkami tupie;

A Zosia woła, krzywiąc ustami:

— Jakie to małe, a głupie!

— Oddaj mi lalkę... idę do mamy!

Nie Kocham cię!

— I jam też rada,

Już się od dzisiaj wcale nie znamy!

Wtem lalka na ziemię pada...

Już się nie przyda na nic nikomu,

Już z tej choroby nie wstanie...

Różia spłakana wraca do domu.

Tak się skończyło kochanie!



XVI.

Nie kocham cię!—Znać cię nie chcę!

‡ **Z**obaczywszy, że skorupki z głowy biednej Bińci rozprysły się po podłodze, Różia aż się zanosila od płaczu. A nie przypisując sobie winy w tem wielkiem nieszczęściu, rozżalona i rozgniewana, ubrała się czempredzej, podniosła z ziemi lalkę bez głowy i poskoczyła ku drzwiom.

— Już... już... się ni... ni... nigdy w ży... życiu nie zobaczymy! Nie cierpię cię!

— I ja cię znać, ani widzieć nie potrzebuję, ty mała, nieznośna żabko! — była odpowiedź Zosi.

Różia wybiegła do sieni i przez ogródek... przez furtkę, byle prędzej uciec od tej szkaradnej Zosi, która przed godziną

jeszcze udawała taką milutką i nazywała się jej przyjaciółką.

Furtka zaskrzypiała... Różia stanęła, nad słuchując... zdawało się, że ta furtka wyraźnie jej mówiła swym piskliwym głosem: „gdy mnie zamkniesz, już po przyjaźni; już nie będziesz miała z kim się bawić, nie będziesz miała kogo kochać.”

Tymczasem Zosia stała przy oknie i wyglądała na ogród. Słyszała, jak się drzwi od sieni ciężko zamknęły, jak żałośnie furtka skrzypiała; słyszała także, co ta furtka mówiła i swe własne serduszko, które biło mocno jak młotem... łzy jej biegły do oczu.

— Szkaradna Różia! To ona wszystkiemu winna... dlaczego tak ciągnęła biedną lalczkę? Ja ją tylko trzymałam. Szkaradna... niegrzeczna... nieznośna! nie kocham jej.

Zosia wzięła swoją Jadzię na ręce i ucałowała ją czule.

— Tak córeczko, tak, teraz ty tylko będziesz moją przyjaciółką; będziemy się obie kochały, nie potrzebujemy nikogo. Słyszane rzeczy, żeby się tak szarpać o lalkę! A taka była zła, zupełnie jak pokrzywa. Cóż to, czy nie mogła grzecznie poprosić? Przecieżbym jej lalkę oddała.

— Jadziu, przecież przyjaciółka powinna rozmawiać, odpowiadać, gdy się jej pytają, a przynajmniej głową kiwnąć, a ty? Prawda Jadziu, że Rózia była bardzo niegrzeczna? A może ty chcesz powiedzieć:

— Ale dla czego Zosia jej nie ustąpiła?...

— Odpowiedz-że! Siedzisz jak prawdziwa lala. No no, nie gniewaj się, ja wiem, że ty nie umiesz mówić; ale choć troszkę, choć odrobinę głową kiwnij. Staraj się, ja ci pomogę. No tak; widzisz, teraz przynajmniej wiem, że i ty myślisz o Rózi to samo co i ja.

— Tobie pewno się zdaje, że ja jestem winna? Ja tylko trzymałam Bińcię z całej siły, przecież to nic złego, prawda? przecież potem rzuciłam jej tę lalkę...

— Ach, siedzisz taka wyprostowana, jakbyś kij połknęła... gdzież się patrzysz? Gdzieś na piec, na ścianę, czemuż nie spojrzysz na mnie? Także mi przyjaciółka!

— Powiedz, kochałaś ciocię Rózię? Ja ją kochałam, a teraz ją niecierrripię!

Jadzia milczała, sztywna i obojętna.

— Ciekawam, jak Hanusia rozmawia ze swojemi fasolkami? może udaje dwa głosy; sama mówi grubo, a fasolowe księżniczki

odpowiadają jej cieniutko. Muszę spróbować. Słuchajże Jadziu:

— Prawda, że ci się płakać chce za ciocią Rózią?

— Ach tak, mamusiu — odpowiedziała piskliwie Jadzia.

— No, to pokaż, jak płaczesz. Widzisz jak mnie łzy z oczu lecą!

Ale Jadzia siedziała jak mruk i ani okiem nie mrugnęła.

— Ach, cóż za kloc! — westchnęła Zosia. — Mogłabym potańczyć trochę z moimi dziećmi, ale to tak nudno samej. Rózia z jedną lalką, ja z drugą, to co innego. Pikuś, Pikuś! Gdzież on się podział? Może pobiegł za Rózią?

— Chciałabym wiedzieć, co on sobie myśli? Pewno, gdyby mógł mówić, toby powiedział, że Rózia jest pokrzywą. A może?

Zosia zaczerwieniła się jak ugotowany raczek.

— O nie! ja nie jestem pokrzywą! Te-goby ani Pikuś, ani nikt nie powiedział. Jadziu, czy wolisz być ze mną, czy z Rózią? Która z nas lepsza?... Kto powiedział, że ja winna? Czy to Anioł-Stróż? Aniele-Strózu... czy doprawdy ja jestem winna?

Zosia zasłoniła oczy rączkami i stała tak chwilę, bardzo smutna. Zdawało jej się, że widzi w zwierciadle dwie rozzłoszczone dziewczynki, bijące się zapalczywie.



Myślała, myślała, szeptała coś cichutko, wreszcie odjęła rączki od oczu.

— Jadziu... Różia niewinna, tylko ja!

A serduszko pukało jak młotem i mówiło: „tak — ty! tak — ty!” Ono tak od po-

czątku mówiło, tylko Zosia nie chciała rozumieć mowy serduszka.

Gorąca łza spadła na głowę Jadzi, druga i trzecia spłynęła na jej buzię, zdawało się, że laleczka płacze razem ze swoją mamą.

Zosia przykłęka na podłodze i pozbięrała skorupki z główki biednej Bińci.

— Ach, Boże, Boże! gdybym ja to umiała naprawić, a może dałyby się skleić, i byłoby ślicznie, i... zgadnij Jadziu, cobym zrobiła? Pobiegłabym do Rózi i zdaleka krzyczałabym z całej siły: „Nie gniewaj się! Daruj mi! Naprawiłam ci twoją córeczkę, kochajmy się znowu! Ach, jakby to było cudnie!

Ale skorupki nie chciały się skleić i wypadały ciągle z rączek Zosi.

— Biedna Różyczka! co ona pocnie bez Bińci? Będzie się chyba musiała bawić fasolkami.

— Całe życie fasolkami? To okropność! Słuchajno, Jadziu, możebyś ty chciała być córeczką Rózi? Wiesz przecie, że całe nieszczęście z Bińcią stało się z mojej winy, więc...

— O mój Boże! co ja mówię! Przecie to już ułożone, że cię mam darować Hanusi. Co ja pocznę... co ja pocznę!

— Tamte lalki już dobrze podniszczone, Kasię dziś przygoda spotkała, ledwie ją braciszek Rózi troszeczkę naprawił; choćbym chciała wynagrodzić Rózi szkodę, nie wiem jak. Hanusia wprawdzie nie wie jeszcze o niczem, ale Anioł-Stróż wie. A nużby mnie w nocy spytał: „To ty Zosiu tak dotrzymujesz obietnicy? To takie twoje słowo?” Niema innej rady; musisz, Jadziu, iść do Hanusi.

Tylko nie myśl, broń Boże, że ci tam źle będzie; Hanusia jest bardzo grzeczna i poczciwa, szanuje swoje rzeczy, będzie ci u niej daleko lepiej niż u mnie. Nawet głupie fasolki chowa do pudełka, można sobie wyobrazić, jak będzie cię pieścić i kochać! Oho, nie pójdzie ona z tobą na deszcz, nie zostawi cię pod stołem twarzą do ziemi na całą noc; sukienki będziesz miała zawsze czyste. Ona taka biedniutka, pomyśl sobie, Jadziu, Hanusia nie ma ani jednej zabaweczki. Nawet pieska nie ma; nic, nic, tylko szarego pająka na oknie. Żal ci Hanusi?

Zosia załamała rączki rozpaczliwie.

— Oj, Jadziu, Jadziu! Ja mówię, mówię do ciebie, a ty siedzisz jak niema, a Różyczka, gdy jej co opowiadałam, to aż w rączki klaskała i podskakiwała z radości, i śmiała się tak serdecznie. A jak wzdychała, jeżeli to było smutne; to znowu pocałowała mnie, i było nam bardzo przyjemnie. Pewno tam teraz biedaczka płacze nad swoją Bińcią. A od płaczu tak oczy bolą... ach! i to wszystko przezemnie!

Jeszcze i tatuś na wieś do chorego pojechał. Gdyby tu był, naprawiłby główkę Bińci, a jabym do Rózi pobiegła, choćby nawet deszcz padał, wzięłabym parasol, żeby Bińcia nie zmokła, i... poleciałabym do Rózi.

A ona co? Onaby uciekła przedemną... jak przed pokrzywą... o mój Boże!

A może, gdy mnie zobaczy, skoczy z wyciągniętymi rączkami, uściska mnie i powie: „Nic to Zosiu, już zapomniałam o wszystkim, już cię znowu Kocham.”

Ach jakby to było dobrze! Takbyśmy się ślicznie bawiły, pozwoliłabym Rózi robić wszystko co zechce, ustępowałabym jej na każdym kroku. Jeżeli zechce, będzie kupcową, a ja panią; pozwolę jej gotować na kuchence, a ja się będę przypatrywała;

a gdy mamusia da nam dwa jabłuszka, to większe i ładniejsze będzie dla niej, i jeszcze z mojego pozwolę jej kawałeczek ugryźć.

Ani jej wspomnę, żeby opowiadała bajeczki; ona jeszcze taka mała. Jak na paluszkach stanie, to mi główką do brody sięga. Biedna Różyczka!

Przypomnę sobie jeszcze dużo ślicznych bajeczek dla niej.

Minuty wloką się tak powoli, czekać tak nudno, a tu tatusia jak niema, tak niema!

— Wyborna myśl! — zawołała nagle i zerwała się z krzeselka.—Cóżto, koniecznie na tatusia czekać? Sama Biñci główkę skleję. To pewno dość trudno, ale spróbować zawsze można, może się uda.

Wyjęła z szafy flaszeczkę z rozpuszczoną gumą, umaczała pendzelek, powlokła brzegi skorupki, złożyła szczelnie i ścisnęła paluszkami. Pełna otuchy czekała parę sekund i... ledwie odjęła rączki, głowa lalki rozleciała się znowu na pięć kawałków.

— Cóż za uparte lalczyisko, nie chce się skleić! A może to starsi tylko takie rzeczy potrafią... może to trzeba mieć duże ręce do takiej roboty?

Ach! nareszcie, nareszcie dał się słyszeć turkot powozu, i... tatuś przyjechał. Zosia pozbierała skorupki co do jednej, zawięła je w chusteczkę i pobiegła pędem



na powitanie taty. Przedtem jeszcze wyjrzała przez okno: czasem czekał już inny powóz przed domem na pana doktora i ledwie powrócił od jednego chorego, musiał czempędzej jechać do drugiego.

— No, dzięki Bogu, niema nikogo!

W przedpokoju Zosia rzuciła się tatusiowi na szyję.

— Mój złoty, drogi, jedyny tatusiu! Stłukłam lalkę Rózi, ona biedna tak płacze, niech tatuś naprawi, mój... mój tatusiu!

— Dobrze, naprawię, ale aż wieczorem; teraz muszę iść do maleńkich chorych dzieci. Laleczka poczeka, a chore dzieci nie mogą czekać.

Zosia odeszła do swego pokoiku zasmucona. Nie śmiała się tatusiowi naprzykrzać, a tak jej się serce ścisnęło... ale... tatuś powiedział: „poczekaj do wieczora.”

Więc do jutra nie zobaczy Różyczki, do jutra Różia będzie płakała za swoją Bińcią, a gdy Anioł-Stróż przyjdzie na noc i zobaczy skorupki, to pewno do nieba odleci.

— Oj! Boże, Boże! gdyby mi to Anioł-Stróż był przyszedł na myśl, jakem się targała z Rózią! Gdybym sobie o mamie wspomniała, nie stałoby się tyle smutnych rzeczy.

Co ja zrobię, gdy mama przyjdzie i zapyta: „a gdzie twoja przyjaciółka?” Chyba fartuszkciem głowę zakryję, żeby mama nie widziała, jak się okropnie wstydę.

— Biedna mamusia, to się dopiero zmar-

twi! Myślała, że ma grzeczną Zosię, a tu nie Zosia tylko pokrzywa. Ale jutro... jutro będzie koniec wszystkim nieszczęściom i zmartwieniom. Tatuś naprawi lalkę, a ja polecę na skrzydłach do Różyczki, zacznę ją całować, przepraszać, musi mnie pokochać napowrót. A wtedy i mama się ucieszy i Anioł-Stróż będzie ze mnie kontent...

— Ach, żeby już raz było to jutro!



XVII.

Będę się pysznie bawiła sama!

A cóż się działo tymczasem z biedną Różyczką?

Zalewając się gorzkimi łzami, z zamazaną buzią, wracała do domu.

— Dzidzius mój biedny! Moja córeczka jedyna!—zawołała, zobaczywszy ją, mama.— Cóż to ci się stało?

Różia przytuliła główkę do kolan mamy i pokazując lalkę bez głowy, zaszłochała:

— Ta Zosia...

Ani słówka więcej nie mogła wymówić, ale łatwo się było domyśleć wszystkiego.

— Zosia taka niegrzeczna?—rzekła mama zdziwiona.—Nie spodziewałam się tego.

Ale może i Różyczka co zbroiła? Może nie-tylko Zosia winna?

W tej chwili wszedł cieśla, zapytał, w której stronie ogrodu ma być ustawiona altanka, którą pani kazała zrobić.

Mama wyszła z pokoju, Różia została sama.

Usiadła na niskim stołeczku, oparła buzię o fotelik mamy i płakała cicho.

— Moja Bińcia kochana! taka była śliczna, i już jej niema... stłukła się... biedna nie żyje! Cóż mi z tego, że mam jeszcze dwie lalki, kiedy żadna Bińci nie warta. Krysia ładna i wystrojona, ale sukienki ma pozaszywane na moc; nie można jej ani rozebrać, ani spać położyć, ani jej włożyć szlafrocza; wiecznie wygląda, jakby szła na bal. A Lizka się nie liczy. Nogi jej się poodrywały, jakże się bawić z taką kaleką! Oj, Boże, Boże, co ja teraz pocznę?

Siedziała, siedziała, raz po raz nosek ucierając. Wreszcie wstała i poszła poszukać wzgardzonych lalek.

— Coś wam powiem—rzekła, sadowiąc je na dywanie.—Jest w drugim domu mała dziewczynka, nazywa się Zosia; gdybyście ją znały, tobyście zaraz chciały iść z nią się

bawić. Nawet ty, Liziu, choć jesteś taka chora, a kazałabyś się zanieść do cioci Zosi.

Ale ja tam już nie pójdę... nigdy już nie pójdę! Przepysznie się tam bawiłam, nawet opowiedzieć trudno, jak ślicznie, ale teraz już nie Kocham Zosię; stłukła waszą siostrzyczkę, moją najdroższą Bińcię...

Ach, gdyby tak mamusia chciała pobawić się ze mną! Mnie potrzeba koniecznie przyjaciółki, i to zaraz, czempredzej... a mama taka ciągle zajęta, wiecznie musi coś robić. Dla Różyczki ma czas tylko w niedzielę. Wiecie co, chodźmy do tatusia!

Zabrała lalki i powędrowała do taty.

— Puk, puk...—Cicho, tatuś musiał wyjść z domu, zobaczymy. Oho, widać, że tylko co wyszedł, bo jeszcze niebieski dymek lata po pokoju; zgadnij Krysiu, co to za dymek? Pewno myślisz, że się tu kto bawił w gotowanie? Gdzietam! to z tatusiowego cygara takie obłoczki się robią.

Ozasem tata bawi się ze mną troszeczkę; ale gdy bardzo zajęty, to mi każe cicho siedzieć i nie przeszkadzać. Wtedy ja sobie wyobrażam, że jestem myszką, włożę w kącik, o tam, gdzie te grube książki i ci-

chusienienko sama się bawię, to jest, dotąd bawiłam się z Bińcią, ale dziś już nie mam Bińci; szkaradna Zosia zabiła ją. Nie kocham Zosi! I wy jej nie kochacie, prawda? Ale żebyście wiedziały, jaką ona doskonałą zupkę gotuje! A pieczeń z piernika...

— Słuchajno Krysiu, możebyś ty wołała inaczej się nazywać? Będę ci mówić Zosiu, dobrze? A do Lizi—Lorciu. Zbudujemy sobie domeczek z wielkich książek taty i ślicznie się będziemy same bawiły; na co nam przyjaciółka?

Ciekawam, co znaczą te złote litery na okładce? Może tu napisane „domek Rózi i jej laleczek.” Zosia zarazby wiedziała, co takie litery znaczą. Powiedzieć wam coś do uszka? Mnie się zdaje, że Zosia jest jednak odrobineczkę milutka... Nawet myślę sobie, że może ona nie taka bardzo winna, jak wam z początku mówiłam; może jej dobre oczko zamknęło się niechcący, gdy mi nie chciała lalki oddać? A może ja nie bardzo prosiłam, tylko wydzieriałam gwałtem? Czasem człowiek zapomni, że trzeba prosić.

Tak, tak, Zosiuniu, usiądź przy mnie, jeszcze bliżej, jesteś przecież moją przyjaciółką. Daj mi rączkę. Chciałabyś pójść

do... prawdziwej Zosi? No odpowiedź! śmieje się trochę; prawdziwe Zosie nigdy tak spokojnie nie siedzą; oho, one skaczą, śpiewają, kręcą się w kółko... cóżeś ty za Zosia?

A Lizka, to jest Lorcia, zesunęła się w koszyk... czy ty już śpisz?

Przyznajcie się, moje dzieci, wy mi pewno nie wierzycie, że Zosia jest taka milutka.



A ja wam powiadam, że im dłużej o niej myślę i wszystko sobie przypominam, tem lepiej widzę, że jest bardzo milutka i bardzo dobra; a mnie tak smutno bez niej.

Różia umilkła; lalki siedziały nieruchome. Nudno, smutno czas upływał w zacisznym domku z grubych książek o złoconych brzegach. Minęło kilkanaście długich minut.

Różia się zerwała:

— Dzieci, wy już śpicie? A pacierz? Ile razy wam powtarzałam, że bez pacierza spać nie wolno? Klęknij Zosiu, a ty Lizko zostań w swoim koszyku i powtarzajcie za mną: Aniele-Strózu mój, ty zawsze... mama wczoraj mówiła, że niegrzeczne, kłótlive dzieci mają czarne serduszka. I dopiero gdy się poprawiają, to im Bozia wraca czyste, białe serca.

Aniele-Strózu mój, daj mi czyste serduszko, już nigdy nie będę... taka... jak... ty już wiesz Aniele-Strózu.

— Spicie dzieciątka? Nie nie mówią, pewno usnęły.

Różia pochyliła się i ucałowała obie swoje córeczki. Poczem oparła główkę o ścianę i zamyśliła się.

Ile też to dni potrzeba, żeby z czarnego serduszka zrobiło się napowrót białe? Ach, takie plamy z niegrzeczności, to pewno jeszcze gorsze niż z atramentu na sukience. A jabym tak chciała mieć czyste serduszko... i do Zosi takbym chciała pójść; Aniele - Strózu mój, ty zawsze przy mnie stój, jak we...

Zamknęły się splakane oczka i maleńka

mama usnęła obok swoich dzieci. Zapewne Anioł-Stróż usłyszał gorącą prośbę Rózi i utulił ją pod swemi skrzydłami, bo twarzyczka jej rozjaśniła się radosnym uśmiechem, a rączki wyciągnęły się, jakby kogoś witały.

Pewno śniło się Różyczce, że mała Bińcia cała i zdrowa, a kłótni z Zosią nigdy nie było. Spiewały sobie razem różne piosenki, Rózia we śnie umiała ich mnóstwo: jeździły z Pikusiem naokoło pokoju.

Wtem wyskoczyły z pod szafy dwie myszki. Rózia patrzy zdziwiona, a myszki rosną, rosną, aż się przemieniają w dwie małe dziewczynki rozczochrane, złe, bardzo niegrzeczne. Dziewczynki się biją, wydzierają sobie lalkę... Nagle wszystko się gdzieś podziewa, Zosia i Rózia stoją przy balii i nacierają mydłem dwa czarne serduszka. „Zbielało już twoje?”—pyta jedna. „Niebardzo, ale już trochę czyściejsze.” „Pierzmy, szorujmy, śpieszmy się.”

I znowu znika wszystko, Zosia siedzi przy kuchence i miesza łyżką w rądelku, a z rądelka bucha para... Skosztuj Różyczko, jaka zupka wyborna!

Dzień dobry ci Hanusiu, wybornieś zrobiła, żeś do nas przysła!

Hanusia przyniosła pudełko z fasolkami; a tu z każdej fasolki wyskakuje księżniczka w atlasowej sukience, biorą się za



rączki, zapraszają Zosię, Rózię i Hanusię do zabawy. Jedna zostaje w kole, a inne obracają się, śpiewając: „Lata ptaszek po ulicy.”

A od sufitu zwiesza się na cienkiej nitce szary pająk, i bujając się w prawo i w lewo, przędzie jedwabną siatkę dla królowej.

Fasolowe księżniczki i prawdziwe dziewczynki kręcą się w kółko, kręcą się, kręcą, Rózi aż w główce się kręci, chce krzyczeć, żeby się zatrzymały, ale nie może, wyrywa się z koła, pada na ziemię...

— Ale cóż to się stało? Gdzie Hanusia? Gdzie królowny, księżniczki, pajak? Wszystko, wszystko znikło.

Rózia spogląda i widzi, że jest na rękach u mamy.

— Zasnęło moje biedactwo maleńkie— mówi mama;—a śniło się co Różyczce?

— O, śniły się cudności, mamó. Zosia jest grzeczna; doprawdy, jak mamusię kocham! To ja wszystkiemu winna. Wydzierałam jej Bińcie, zamiast bardzo prosić, albo zaczekać, aż się pobawi i sama ją odda. Mamusia pozwoli mi pójść zaraz do Zosi, prawda? Musimy się przecie przeprosić, ja ją tak kocham!

— Dobrze, kotusiu, ale cię mama pierwszej uczesze; spojrzij no w lustro, to chyba nie moja Różyczka?

— Ale za minutkę pójde? Prawda, mamusiu kochana?

XVIII.

Ach gdybyż powróciła!

Biedna Zosia płacze, wzdycha,
Lalkę na ziemię rzuciła,
I ciągle powtarza ze zicha:
Ach, gdybyż Różia wróciła!
Tak ją przeproszę, tak ucałuję,
Wszystkie zabawki przed nią rozłożę,
I nowy domek dla niej zbuduję,
I z rodzenkami zupkę zgotuję,
I z obrazkami książkę daruję;
O biednej Bińci zapomni może.

.....
Aniele-Stróžu mój—ty zawsze przy mnie stój!
Pilnuj mnie dniem i nocą—i spraw to swoją mocą,
Aby Różyczka miła—dziś jeszcze powróciła.



XIX.

Nie mogłam wytrzymać bez ciebie!

— **L**orciu... Jadziu, mnie się zdaje... Nie, nie, nie zdaje mi się, ale naprawdę słyszę... Ktoś do nas idzie! Już nie będziemy się smucić do jutra! Cicho! Czy słyszycie?

Zosia postąpiła parę kroków ku drzwiom, przyłożyła palec do buzi i wyciągnęła szyjkę, nasłuchując.

— Dorośli ludzie inaczej chodzą. Małgosia robi obcasami „stuk, stuk,” tatuś ciężko i powoli „bumm, bumm.” Mama nie biega tak prędko; to maleńkie kroczki jakiegoś maleńkiego człowieczka.

Ryyyp... to furka! Dziń, dziń... to drzwi od sieni! Lorciu, czy słyszysz jak biegnie?

Co się dalej stało, nigdyby Zosia nie umiała opowiedzieć, jedno tylko wiedziała na pewno: Różia, Różyczka kochana przysłała, wróciła! Znowu się kochać będą jak przedtem.

A co było uścisków, całusów, radości!



— Z początku... z samego początku, chciałam już nigdy, nigdy cię nie widzieć, ale nie mogłam wytrzymać.

— Ach, Róziu i ja nie mogłam się cię doczekać. Ani się bawić, ani z lalkami rozmawiać, ani obrazki oglądać, wszyst-

ko brzydkie, wszystko nudne; co mi po zabawkach, gdy nie mam przyjaciółki! Gdybyś jeszcze pół godziny została w domu, przyleciałabym sama po ciebie. Tak cię kocham, tak cię kocham, że... Daj buzi. Pikuś, widzisz Różyczkę? Cieszysz się?

Pikuś stanął na tylnych łapkach, przednie oparł na ramionach Rózi i poszczeniwał krótko, wesoło, kręcił ogonkiem, słowem, jak umiał, tak się witał z upragnionym gościem. Może i on chciał powiedzieć:

— Ach, te wasze kłótnie, to doprawdy nie do wytrzymania!

Lorcia cała na bok przechylona, spoglądała na Jadzię leżącą na ziemi; gdyby umiała mówić, pewnoby powiedziała:

— Tak tu było smutno przed chwilą: nasza mamusia nie chciała bawić się z nami, płakała, ach to było nie do wytrzymania!

A przez okno zajrzało słońce. Słońce kocha dobre dzieci, lubi patrzeć na ich zabawy, nienawidzi kłótników. Dzisiaj trochę niezdrowe, co chwila chowało się za parawan z chmur. Może tam wysoko, wysoko, za chmurami, słońce ma swoje łóżeczko, w którym wypoczywa, gdy jest chore?

Zajrzało tylko przez okno, zbladło i zni-

kło. Ale ten jeden promyczek wystarczył do oczyszczenia splamionych serduszek. Zosia z Rózią obejmowały się rączkami, całowały się, kochały znów jak dawniej, a serduszka ich bielutkie były mocno: „tak, o tak, tak, o tak, kochajmy się!”



Dziewczynki usiadły na kanapce, tuląc się jedna do drugiej. Miały sobie tyle do powiedzenia. Aż dwie godziny gniewały się na siebie! Przez dwie długie godziny było im smutno—bardzo źle. Jak się takie

rzeczy opowiada, to są jeszcze ciekawsze, niż zwykła bajeczka.

— Słuchaj Róziu, czy tobie bardzo chce się płakać, jak wspomnisz o B... o Biń... ty już wiesz, o kim ja mówię. Nie martw się, nie płacz; tatuś powiedział, że ją ślicznie skleji, prawie znaku nie będzie. Aha... jeszcze ci coś ładnego powiem. Nie zgadniesz?

— Nie.

— Mama pozwoliła darować laleczkę Hanusi. Wiesz którą? — Lorcię. A gdy mama co pozwoli, to i aniołek nie będzie się gniewał. Chciałam Jadzię, ale się namyśliłam, że Lorcia ładniejsza. Ja pewno jeszcze nieraz lalkę dostanę, a Hanusia będzie miała jedną, to niech będzie przynajmniej duża i ładna. Wspomnę dziś w nocy o tem Aniołowi-Stróżowi; ale się nic nie boję. Takam kontenta, że biedna Hanusia będzie miała Lorcię. Ale jeszcze coś daleko ładniejszego jej podaruję. Zgadnij. No pomyśl, zgadnij.

Rózia podparła główkę rączkami, rozmyślała chwilę, potem szukała oczyma po suficie, zapatrzyła się w lampę, wreszcie zaczęła wyliczać zabawki Zosi, zaczawszy od piłki, aż do kuchenki.—Wszystko na nic!

— Oj, dudus z Rózi! No, to ci już powiem. Daruję Hanusi... przyjaciółkę! Ale prawdziwą, nie fasolową królową, ani porcelanową lalkę, tylko żywą dziewczynkę. Choć Janowa pójdzie do roboty, nie będzie Hanusi tak smutno, bo prawie codzień zobaczy się ze swoją przyjaciółką, pogadają, pobawią się razem, opowiedzą sobie bajeczki, a na imieniny przyjaciółka przyniesie Hanusi zawsze coś ładnego.

Rózia wytrzeszczyła oczy, nie rozumiała.

— A skądże ty weźmiesz taką przyjaciółkę? Czy masz kilka prawdziwych dziewczynek do darowania?

— Powiedzieć ci? Daruję jej Zosię. Tę Zosię, o!

I wskazała paluszkami na swoje oczka, nosek, buzię; uderzyła się rączką w piersi.

— Tę Zosię jej daruję!

— Ach cudnie! — zawołała Rózia. — A czy można darować Hanusi Różyczkę? Maminą, tatusiową i twoją Różyczkę? Czy można jeszcze raz darować Hanusi? Może ja już nie mam prawa?

— Ale gdzieżtam! Kochasz mamusię,

tatusia, mnie, to jeszcze i Hanusię będziesz kochała, prawda?

— A jakże! Niech ona biedniutka ma sobie aż dwie przyjaciółki. A na moje, albo Henrysia imieniny, zaproszę ją do nas na czekoladę. I ty przyjdiesz, będziemy wszystkie trzy. Nic nie szkodzi, że Hanusia nie ma ładnej sukienki, ja ją i tak kocham. I grube trzewiczki nic nie szkodzą. A gdyby zechciała pobawić się moją laleczką, to jej nie będę wydzierać, o, nigdy!

— Możebyśmy zaraz do niej poszły? Powiedziałam już Lorci, że dostanie inną mamę, ale jej to zupełnie wszystko jedno; nawet się nie skrzywiła. Chodź, spytamy się mamusi, czy wolno.

Pobiegły do mamy, prosiły bardzo, bardzo.

Mama pogłaskała dzieci, pocałowała, ale nie pozwoliła wyjść z domu.

— Wyrzycie przez okno. Deszcz ulewny ledwie przed chwilą przestał padać, na całym podwórzu stoi woda. Nim dojdziecie do drzwi Janowej, przemoczycie nóżki do szczętu. Trzeba czekać aż przeschnie, to może pójdziecie dziś jeszcze, a jeżeli będzie błoto, to jutro.

Dziewczynki wróciły do swego pokoju.

— Róziu, taką mam straszną ochotę o to się dąsać! Ale nie będę; Anioł-Stróż był taki dobry, nietylko, że mnie nie ukarał za... za to co wiesz, ale owszem, przysłał mi ciebie z powrotem; pogodziłyśmy się, znowu się kochamy. Gdybym się teraz dąsała na mamę, gotówby już naprawdę się rozplakać.

— Nie, nie, kochany Aniele-Strózu, nie martw się daremnie; ani Zosia, ani Różia nie będą się dąsały. Usłuchają mamy grzecznie i będą czekać pogody.

— To nawet lepiej — rzekła Zosia po chwili — tyle mamy roboty, trzeba przecie spakować Lorcine rzeczy. Pomyślmy, co jej damy.

— Ach, kapelusz taki zniszczony!

— Bo prawie zawsze leży pod szafką. Już tak nie zrobimy więcej, dobrze Róziu? Damy jej tę nową sukienkę i dwie koszulki i niebieskie pończoszki. Hanusia jej pewno sama co jeszcze uszyje.

— Oj, słoneczko kochane, popatrz no trochę, jak tam szkaradnie na podwórzu. Mogłobyś się zająć trochę swoim gospodarstwem i wysuszyć błoto; bardzo nieła-

dnie być takim leniwcem i siedzieć ciągle za chmurami.

— Jakóbie! Jakóbie!

— Kogo wołasz? — zdziwiła się Różia.

— Ogrodnika.

— A co to Zosiunia powie? — zapytał gruby głos pod oknem.—Nudno dzieciskom siedzieć w pokoju, co? Ale za to drzewka się cieszą, kwiatki, trawki, wszystkie roślinki. Gdyby mogły, toby głośno krzyczały z wielkiej radości. Napłyły się deszczówki, zobaczycie, jak tu pojutrze będzie ślicznie w ogródku. Listeczki się rozwiną, kwiaty zakwitną, a gdy słońce przygrzeje, to za tydzień wszyscy zapomnimy, że kiedyś tam była zima!

— Ale słońce nie chce się pokazać!

— Przyjdzie i ono, przyjdzie; podąsa się i znowu będzie grzeczne.

— Mybyśmy tak chciały wyjść trochę, ale mama nie pozwala.

— To i dobrze robi; a któżby się chlapał po błocie. Do jutra obeschnie.

— Do jutra, oo!—westchnęła Zosia.

— Tak długo, ach!—westchnęła Różia.

— A cóż to tak pilnego, że nie można do jutra poczekać?

— A nie można!—ze stanowczą minką rzekła Zosia.—Widzicie ten pakunek? To lalka dla Hanusi; wiecie, tam na podwórzu u Janowej. Ona taka biedna! Wiecznie sama siedzi, mamy jej po całych dniach nie ma, zabaweczki ani jednej, nic.

— A w dodatku musi czasem kołysać Basię i siedzieć przy niej kamieniem. Okno zasłonięte, mówić, ani śpiewać nie wolno. Biedna Hanusia!

— Dlatego, chciałybyśmy jej dać lalczkę i to zaraz!

— Bagatela! Nastawię koszyk, Zosia wyrzuci paczkę przez okno, a ja zaraz odniosę do Janowej.

— O nie, to na nic. Z lalką chcą iść przyjaciółki, o których Hanusia jeszcze nie wie.

— Dzisiaj koniecznie musi dostać lalkę i dwie przyjaciółki; rozumie Jakób?

— Cobym nie miał rozumieć! A poczekają dzieci cierpliwie, aż skończę robotę w ogrodzie? Jak będziecie grzeczne, to ja tu po was wnet zajadę kareta, dobrze?

— Ach wybornie! Tylko niech Jakób nie zapomni!

— Cudnie! pięknie! doskonale! — wykrzykiwały dzieci.

— Wiesz, muszę jeszcze raz pobiedz do mamy i spytać, czy pozwoli powozem pojechać do Hanusi.

I pobiegła.

— Co? gdzie? skąd? jaki powóz?—pytała mama.

— Jakób, ogrodnik, powiedział, że nas zawiezie. Czy można?

— Nic nie rozumiem.

Ale wyjrzawszy oknem, mama uśmiechnęła się i pozwoliła na tę przejażdżkę.

— Któż będzie trzymał Lorcię? — rzekła Zosia.

— Ty naturalnie, bo jeszcze jesteś jej mamą.

— Ale jeżeli ty masz ochotę, to powiedz, chętnie ci ustąpię; albo wiesz co? Posadźmy dziecko w środku między nami. Patrzajno Róziu, Jakób już chowa nóż do kieszeni, pewno skończył robotę. Pójdź, kochana córko, czas nam w drogę. Uściskaj siostrzyczki, pożegnaj się ze wszystkimi, nieprędko się z niemi zobaczysz. Bałam się, że będą płakać za nią — rzekła Zosia, zwracając się do Rózi.—Ale kiedy za ciocią

Rózią nie płakały, to już widać wcale serca nie mają.

— Oho, jakiś turkot pod oknem!

— Jest, jest nasza karetka! Lećmy prędko, a nie zapomnij zawiniątka!



Dzieci zbiegły pędem ze schodów i rozsiadły się wygodnie w powozie starego Jakóba. Niezbyt elegancka to była karetka, jedno tylko miała kółko, ale za to grube

i mocno okute. Zanim Różyczka porachowała paluszki u rączek, już trzeba było wysiadać.

A słoneczko, choć mu już pora była kłaść się za górami do łóżka, spojrzalo raz jeszcze jednym okiem na ziemię. Spostrzegło Zosię i Rózię, śpieszące uszczęśliwić ubogą przyjaciółkę. Rozradowało się słońce tym widokiem i posłało długi złoty promień prosto w okienko Janowej. Promień zatrzymał się na główkach dzieci, świecił im w same oczka, jakby je chciał całować.

.

O radości Hanusi, gdy otrzymała z rąk przyjaciółek podarunek, którego się nie spodziewała, nie będziemy opowiadać. Niech każde dziecko, czyniące dobrze biedniejszemu od siebie, wyśpiewa sobie tę radość w swem sercu. Powiemy tylko, że Hanusia bardzo dziękowała i... bardzo była uszczęśliwioną.

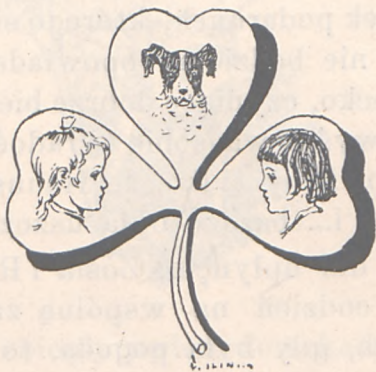
Dużo dni upłynęło. Zosia i Różia schodziły się codziennie na wspólną zabawę, to do ogródka, gdy była pogoda, to w pokoiku dziecięcym w razie deszczu. Coraz im lepiej było razem, coraz bardziej się kochały.

Bińcia, naprawiona przez tatusia, pędziła spokojne życie; przybyło jej z czasem kilka siostrzyczek, ale zawsze ona była najukochańszą, najstarszą córeczką Rózi.

Hanusia ze swoją Lorcią odwiedzała czasem dwie przyjaciółki, wtedy we troje zabawa szła im jaknajlepiej.

Słońce coraz jaśniej świeciło do pokoju dobrych dziewczynek i w ogródku migotało złotymi promieniami przez gałązki drzew.

Aniołowie - Stróże Zosi i Rózi smucili się już bardzo rzadko!



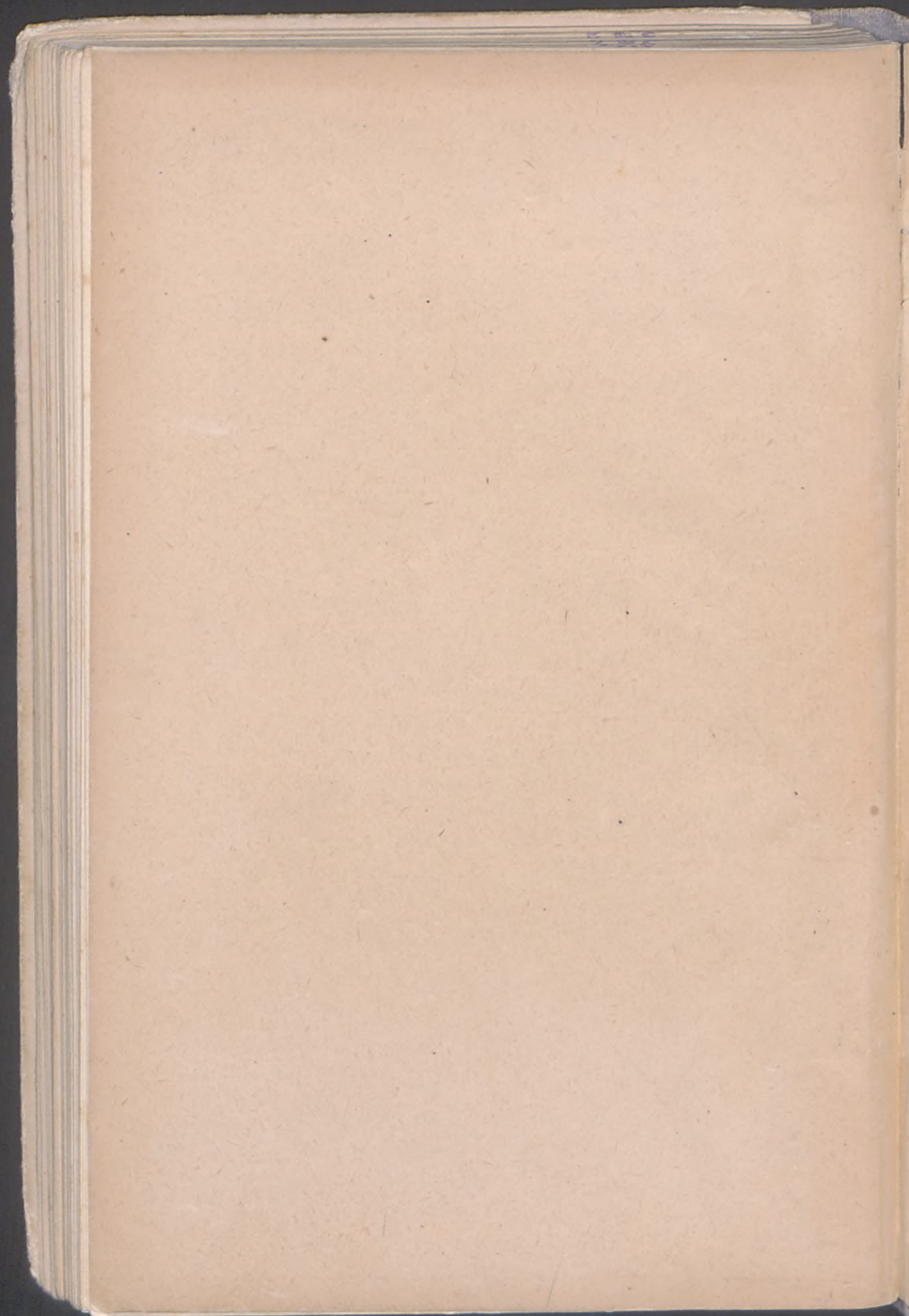
TREŚĆ.

	<i>Str.</i>
I. Pierwsze spotkanie	5
II. Dzień dobry Zosiuniu!	15
III. W pralni.	24
IV. Co wiatr wyrabia	34
V. Zbudujmy sobie domek	42
VI. Bajeczka o pokrzywie	49
VII. Pojedziemy na spacer	63
VIII. Proszę pani o sto funtów mięsa	73
IX. Patrz no jak się gotuje!	85
X. Dajże i mnie skosztować	99
XI. Powiem ci coś w sekrecie	111
XII. A teraz co?	121
XIII. Patrz no, co ja potrafię.	136
XIV. A teraz dowodzimy!	148
XV. Już po przyjaźni	162
XVI. Nie kocham cię.— Znać cię nie chcę!	163
XVII. Będę się pysznie bawiła sama	175
XVIII. Ach, gdybyż powróciła!	184
XIX. Nie mogłam wytrzymać bez ciebie.	185



INDEX

187. The English system of roads.
188. The English system of roads.
189. The English system of roads.
190. The English system of roads.
191. The English system of roads.
192. The English system of roads.
193. The English system of roads.
194. The English system of roads.
195. The English system of roads.
196. The English system of roads.
197. The English system of roads.
198. The English system of roads.
199. The English system of roads.
200. The English system of roads.



dar J. Komorowskiego
Wwos
28.06.90



1467701

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001001851197